

Nr 4 (47)

2011



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

BYŁO, NIE BYŁO

Jakby nie było rok, który mija, dla gorzowskiej kultury nie był najgorszy. Ale daleki od tego, jaki mógłby być gdyby kulturę wreszcie zaczęto traktować jak jeden z najważniejszych instrumentów polityki państwa w dziedzinie wychowania obywatelskiego, jak to kiedyś wymyślił C.K. Norwid, a nie jako rezerwę, z której do woli można czerpać forsę dla latania dziur kryzysowych. Kultura piękno tworzy, „Artysta jest organizatorem wyobraźni narodowej” (Promethidion): *Bo nie jest światło, by pod korcem stało / ani sól ziemi do przypraw kuchennych / Bo piękno na to jest, by zachwycało / Do pracy – praca by się zmartwychwstało.*

Odsłoniliśmy tablicę na naszej ksiąźnicy z sentencją jej patrona Herberta: „Istnieją dwie podstawowe wartości – piękno i dobro. Pracując usilnie w pięknie wywołujemy dobro”.

Z rozmachem i przytupem rozpoczęła swoje życie Filharmonia. Stałym porządkiem bez specjalnych wstrząsów (wyjątek: rzeźby Adama Myjaka) toczyło się życie plastyczne od galerii do galerii w tym samym miejscu (MOS) i gdzie indziej, choć już bardziej sporadycznie. Teatr też się ustabilizował na poziomie miasta średniej wielkości i nawet do- roczne jesienne Spotkania nie zakłóciły tej normalności. Literatura gorzowska na stałym poziomie, ze wzlotami jednej poetessy Klary. Oddział ZLP, mimo co- rocznych pogrzbów, wciąż liczy 25 dusz. Dochodzą nowi, zwłaszcza prozaicy. Dziś, z trzecią książką, do grona pisarzy z cen- zusem zgłasza się poeta Adam Korze- niowski. Jedna była gorzowianka, Chri- sta Wolf z Landsbergu, opuściła ten padół na zawsze. O tym w środku. Czytajcie. Było, nie było, będzie średnio normalnie.

I. K. Szmidt

ADAM
KORZENIOWSKI

*

Niech światło gwiazdy
Cię poprowadzi
Na drugą stronę
W tę noc grudniową.
Niech Cię oświecili,
Ogrzeje blaskiem
I doda wiary
Gdy idziesz drogą,
Wśród kłamstw, obłudy,
Placzu, cierpienia,
Nędzy i głodu i upodlenia,
Złudnych rozkoszy,
Obłędu wojny,
Śmiertelnych chorób,
Bezmyślnych zbrodni.
Niech Cię otoczy
Swym ciepłym blaskiem,
Niech Cię ochrania
Aurą tęczową
I niech tą drogą,
Którą wędrujesz
Miłość podąży
Tuż tuż przed Tobą



Naszym prześwie-tnym
autorom oraz wiernym
czytelnikom w wersji
drukowanej i w sieci (!)
życzą wydawcy i redakcja
Pegaza Lubuskiego

Marek Grewling KONIEC NOWEGO WSPANIAŁEGO ŚWIATA

Okazuje się, że kalendarz Ma- jów został źle skalkulowany – na szczęście, bo dzięki temu oddalił się wieszczony koniec świata. Zatem w 2012 roku nie czeka nas przesun- ięcie biegunów globu ziemskiego, nie czeka nas tsunami, potop ani masowa zagłada skutkiem żywio- łów, wojen i tym podobnych nie- szczęść. Oceany nie zaleją kon- tynentów, lawa wulkaniczna nie pogrąży w odmętach żaru dino- zaurów gatunku homo sapiens, chmury gazów nie zasłonią ożyw- czych promieni słońca – słowem: będziemy żyć. Można więc prze- stać się niepokoić, można przestać snuć wizje survivalu. Okazało się – jak dotąd zazwyczaj – że filmy o końcu świata to jednak tylko filmy. A marna asteroida, o któ- rej czytamy, że niedługo przeleci gdzieś w pobliżu naszego księżyca, budzi jedynie uśmiech politowania. Przed nami kolejny rok – Nowy Rok. Kolejny rok, a więc na jego progu kolejne święta, przed nimi zakupy, cudownie zwyczajne, uro- czo przewidywalne. Wybierzemy choinki, zawiesimy na nich kolo- rowe bombeczki i ozdoby, kupimy dzieciom prezenty, które znajdują się pod naszym rodzinnym drzew- kiem, oczywiście nie zapomnimy o karpiu, barszczu i pierogach oraz o tysiącu innych spraw związanych ze świętami. Żadnych niespodzia- nek kosmicznej natury. Tradycja, opłatek, tkliwe kolędy, pasterka i wszystko co wiąże się nieodłącz- nie z procedurą wejścia w ten nowy

cd. na str. 2

Literatura polska w Lipsku

Od 18 do 23 października 2011 r. odbywała się w Lipsku „15. Jesień Literacka” poświęcona literaturze krajów sąsiednich Niemiec i porozumieniu europejskiemu. Bardzo ważne miejsce zajmuje w tej imprezie literatura polska oraz wymiana doświadczeń między polskimi i niemieckimi autorami. Festiwal jest organizowany we współpracy ze Związkiem Pisarzy Niemieckich oraz stowarzyszeniem Kulturwerk Deutscher Schriftsteller in Sachsen e.V. W ramach festiwalu literackiego organizacja, Bildungswerk Sachsen der Deutschen Gesellschaft e.V. przygotowała polskie wieczory literackie oraz polsko-niemieckie spotkania autorskie. W tym celu do Lipska zaproszeni zostali autorzy z Polski. Gośćmi tegorocznej edycji byli prozaicy: Sylwia Chutnik, Anna Bolecka i Piotr Paziński oraz poeci: Leszek Szaruga i niżej podpisany. Podczas wspólnych debat omawiane były tematy: „Sytuacja polskiej literatury na niemieckim rynku” oraz „Literatura polska między centrum a peryferiami”. Każdy z nas miał wieczór autorski, podczas którego prezentowana była jego twórczość w języku polskim i niemieckim. Lektorami i moderatorami byli pracownicy naukowcy uniwersytetów w Berlinie, Lipsku, Szczecinie i Siegen oraz innych instytucji propagujących kulturę polską w Niemczech. Duże zasługi ma w tym zakresie lipaska filia Instytutu Polskiego w Berlinie. Osobny wieczór wypełniło spotkanie z Arturem Beckerem, piszącym po niemiecku, ale na tematy polskie, jako że urodził się i wychował na Mazurach. Choć w Niemczech jest popularnym autorem i tłumaczem, po polsku ukazała się tylko jedna jego książka pt. „Kino Muza”. Uznano, że analogicznie w Niemczech ciągle za mało tłumaczy się polskiej literatury, choć zapotrzebowanie na nią rośnie z roku na rok. Szczególnie we wschodnich landach obserwowane jest duże zainteresowanie polską prozą współczesną.

Organizatorzy przygotowali dla gości z Polski ciekawy program pobytu połączony ze zwiedzaniem miasta i wizytami w miejscach, gdzie kultywuje się tradycje literackie. Z miastem tym związani byli Goethe i Schiller. Ten drugi ma tu swój „Dom Schillera” oraz „Schiller Cafe&Restaurację”, w której także gościliśmy, prowadzoną przez sympatyczną właścicielkę-Polkę. Specjalną atrakcją był obiad w słynnej faustowsko-mefistofelskiej piwnicy „Aerbach Keller” i kolacja w restauracji „Kowalski”, w której serwuje się także potrawy z Polski. Gospodarze zapewnili nam bardzo dobre warunki pobytu, znakomitą opiekunkę, p. Magdalenę Ermlich, i... sporo wolnego czasu na bezpośrednie kontakty i samodzielne poznawanie miasta o niepowtarzalnej atmosferze i architekturze. A pogoda była przepiękna...

Po udziale przed dwoma laty w Dniach Szewczenki na Ukrainie w Dniepropietrowsku była to dla mnie druga impreza zagraniczna, w której reprezentowałem Związek Literatów Polskich, ale także prezentowałem na spotka-

niach swoją twórczość, szczególnie wiersze w przekładach na język niemiecki. Czytała je, podobno znakomicie, aktorka Corinna Waldbauer, z dużym wyczuciem treści i formy, wywołując wzruszenie na sali i duże zainteresowanie objawione także w dyskusji i późniejszych rozmowach. Niemała w tym zasługa moderatorki – prof. Brigitty Helbig-Mischewski z Uniwersytetu Humboldta i Uniwersytetu Szczecińskiego.

Ireneusz K. Szmidt

KONIEC NOWEGO...

cd. ze str. 1

czas, który stanie się naszym udziałem w nowym roku. Oto przed nami Nowy Rok.

Jednak niezależnie od optymistycznej prognozy związanej z fiaskiem apokalipsy wieszczonej przez wyznawców pomyłki arytmetycznej czeka nas wejście w nową, dotąd nieznaną rzeczywistość nowego – niekoniecznie wspaniałego świata. A byliśmy już tak blisko i przyznam, sam się zastanawiałem, jak ponowoczesna ludzkość odnajdzie się w cudownym świecie bliskim Huxsley’owskich prorocत्व o „nowym wspaniałym świecie”. Zjednoczenie, unia, jednomyślność, budowanie wspólnej przyszłości, wspólnej organizacji społecznej, ekonomicznej, ekumenicznej i politycznej. Słowem: Nowy Wspaniały Świat. Świat naszych marzeń, świat wizjonerów, którzy przez stulecia marzyli o jedności – to przecież takie boskie, sam święty Jan pisał w ewangelii: „Ut omnes unum sint” – aby wszyscy stanowili jedno. Wizja ewangelisty była tak bliska realizacji, że aż strach. Nawet wyznawcy i czytelnicy natchnionego autora zaczęli w pewnym momencie odczuwać obawę, że prorocत्व się spełni. Bowiem co innego prorocत्व na piśmie, a co innego (straszne dla kabotynów) prorocत्व spełnione. Jednak nie wypadało kontestować słów przyjaciela samego Jezusa, więc subtelnie przerzucono odpowiedzialność za nie – proszę zgadnąć na kogo? Oczywiście, jak zwykle na „cyklistów”, którzy przecież pragną władzy nad światem. Tak, zastanawiałem się poważnie, czy ludzkość – szczególnie ta nasza polska ludzkość – potrafi sprostać prorocत्वu, modlitwie, „aby wszyscy byli jedno”. Okazało się jednak, że zostaliśmy zwolnieni z tego trudnego egzaminu. Bo jak wygląda Europa i świat dzisiejszej doby, widzimy i słyszymy. Wizja „nowego wspaniałego świata” oddała się prędzej niż się pojawiła. Zaczyna doskwierać świadomość schyłku belle époque. A wydawało się, że byliśmy tak blisko. Znowu pojawia się widmo granic, widmo podziału na bogatych i bardzo biednych, na tych z jądra Europy i tych z pogranicza. Niestety, wiemy jakie miejsce przewidziano dla nas. Cień powrotu tego, co dzieliło, kładzie się cieniem na przyszłości Nowego Roku. Jest jeszcze wiele innych cieni, które sprawiają, że rok 2012 może napaść obawą. Naturalnie jest wielu takich, których cieśzy wizja ponownych podziałów, dla których granice są swoistym dobrodziejstwem, bieda dopustem Bożym, a głupota przepustką do dogmatu.

Tak, nie czeka nas koniec świata w wydaniu kalendarza Majów. Czekają jednak koniec świata w wydaniu giełdy, rachunku bankowego i kryzysu pieniądza. Kto wie, który z tych scenariuszy jest gorszy? Kończy się epoka. Właściwie już się skończyła belle époque tych, którzy tak bardzo chcieli jedności. Światli ludzie mają świadomość tego i smucą się, gdyż wydawało się, że tak bliska spełnienia jest modlitwa: „Ut omnes unum sint”.

Nie będzie końca świata. Będą święta, będą choinki, wigilie, prezenty. „Cicha noc”, „Jezus malusieńki”, „Przybieżeli do Betlejem”, kolory lampek na choinkach, łyzy w oczach, ciepłe słowa i tklive kazania. Jakby nic się nie stało, jakby wszystko było bez zmian. Ani się obejrzymy i nadejdzie Sylwester, Nowy Rok, ani się nie obejrzymy i nadejdą zmiany. Jak u Barei: „Zmiany, zmiany, zmiany”.

Ale nim to się stanie, zdążymy jeszcze podzielić się opłatkiem i złożyć sobie życzenia. Czego sobie życzyć, stojąc z opłatkiem przy wigilijnym stole? Czego sobie życzyć z okazji nadchodzącego Nowego Roku? Zazwyczaj życzenia same przychodziły mi na myśl. Dzisiaj trudniej, znacznie trudniej. Od dzisiaj każdy musi trudzić się sam.

Marek Grewling



Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie;
red. nac.: Ireneusz K. Szmidt, tel. kom. 501 520 227, tel/fax 95 729 50 80; sekretarz: Danuta Zielińska; współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary; zdjęcia: I. K. Szmidt, K. Ligocki, A. i B. Korzeniowscy, archiwa wydawcy i autorów. Projekt okładki: Zbigniew Olchownik.
Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP w Gorzowie, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: zlp.gorzow@wp.pl; e-mail: i.k.szmidt@wp.pl;
www.zlp.gorzow.prv.pl;
Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt.

Roman Habdas

O przerabianiu świąt Bożego Narodzenia na... magiczne święta

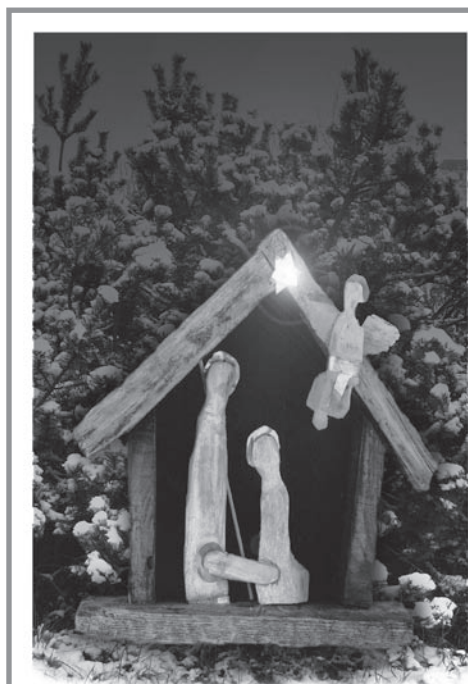
Kiedy na niebie sklepowych witryn zapalają się podróbki betlejemskiej gwiazdy, reklamy nie mówią nic o Dzieciątku Jezus. Z Nim ani sprzedać, ani kupić.

Wystarczy, że przyszedł na świat. Dla dobra interesu.

Józef z Maryją też się nie liczą. I przed, i po świętach, choć są ich chwałą. Podobnie na co dzień, bo media mają swoich bogów.

I swoich Herodów.

Dla nich nie ma głoszenia pokory po targowiskach próżności. Te, rządzą się swoimi prawami. I magią, która oddala niejednego mędrca od Betlejem.



*Przedświętany gaudium
skany się kolorami
Hłuu w hipermarketach
Milutaj z broda choinka
histonon co dziwiga zyczenia
bioty obrus karp kutia ...
w pustym kosciele
stopak z migającą gwiazdą
owieseni kwiłowie
Maryja z Józefem
Anioł maol minni
qion chwatać nieba
tylko JEZUSEK na sianie
Łale nieurdu wosowa*

GAŚIÓR 2011

Władysław Łazuka wigilijna gwiazda

srebrzą się brzożek
palce sine
trzaskają bicze mrozu
po ogrodach
śniegami w pola
idą tropy dzika
w słowach zastygły
gwiazdozbiory nocy
herody do wsi
dzwonią

lasem cisza
a w izbie jodła
pachnie świeże siano
matka kolysze do snu
oczy syna
w szronie jej włosów
wigilijna gwiazda.

**Jerzy Gaśiorek
(Gaśior)**

* * *

**Przed nami Nowy Rok
czy aby cały
Bóg nam zaplanował
nadzieję życzenia
co jest nam pisane
co zdarzyć się może
co zebrać zdolamy
czego a n i r d z a
a n i m ó l...**

Władysław Łazuka

Oczekiwanie

Śnieg topniał. Kapało z dachów. Na gałęziach drzew zwiślały srebrzyste krople wody. Ujadały psy. Słońce kładło się nad wierzchołkami sosen. Miki, zabawny foksterier, przyglądał się staremu, przeczuwając włośćę po lesie. Stary jednak poszedł sam. Minął ostatnie zabudowania, rozłożysty klon, który latem daje dużo cienia. Po obu stronach piaszczystej drogi, jesienią pełnej głębokich kolein i odległego światła (gdy zachodzi słońce zabierając ze sobą coś, czego on nie umiał nazwać) rozciągały się pola obsiane oziminą. Patrzył na tę ziemię ludzkich marzeń, radości i smutków, zlaną potem, zacinaną batem – pod wiatr, pod dym z papierosa. Przywykł do niej jak wszyscy ludzie we wsi i nijak by mu było bez niej. Szedł. Droga opadała w wąwóz, gdzie w deszczach wiosennych i słońce jesieni przez cienką warstwę żwiru przebijają glina. Ciężko ją było dźwigać razem z butami. Nagle zdziwiony... Przystanął. Przed nim w szczerym polu czerniało cielsko dzika. Pojedyńczyk najspokojniej w świecie rył kartoflisko wygrzebując podmarznięte ziemniaki. Stary miał go z wiatrem. Pochylony zbliżał się do niego. Odyniec zwietrzył jednak zapach, podniósł łeb, fuknął i ruszył przez dolinę, przygarbiony z nastroszoną szczeciną na karczysku. Tam gdzie droga sprzęża się z lasem obejrzał się i przesadził zwały śniegu. Zniknął w labiryncie drzew.

Stary minął dolinę. Przez dobrą godzinę kluczył w gęstwinie, odchodzącej płaskim wzgórzem na wschód do wysokich traw sosnowego boru. Śnieg skrzypiał pod butami, łśnił, raził go swoją bielą, głęboką i odległą. Przystanął, żeby odsapnąć. Zapalił papierosa. Oczyma znalazł dolinę torfowisk, skutą teraz lodem i dostępną. Latem o rosie kosił na jej krańcach trawę, suszył ją i układał w kopki. Kiedyś było tam jezioro pełne ryb, porośnięte przy brzegach trzcina i oczeretem. Teraz wszystko zarosło, wyschło.

Własnym oczom jednak nie wierzył, tkwił przy swoim wspomnieniu, nie uznawał faktu, że pozostaje w tyle za pędzącym czasem. Zebrał się w sobie tak jak wtedy, w ten mroźny wrześnieowy poranek, gdy pośród pożółkłych traw i trzcin powleczonej mgłą ujrzał rannego byka, który przechytrzył myśliwych. Uciekł z kotła i dyszał ciężko, ukrywając się między świerkami.

Ruszył dalej. Te drzewa ze śniegiem na wierzchołkach były mu bliskie, choć tajemnicze. Znał do głębi ten las, wszystkie ścieżki, miejsca zaczarowane. Przyjadą, napali w piecu, znowu będą razem. Czekał długo na tę chwilę.



Znajdzie drzewko wysmukłe, zielone. Przyglądał się świerkom zaklętym w baśniowe kształty nad strumieniem, sosnom wysokim objętym kępami świerkowego podszycia. Przeciął trop sznurującego lisa, widoczny wyraźnie na śnieżnym puchu. Dalej, gdzie strumień odbiega pod urwiste brzegi, ujrzał szlak wyznaczony przez watahę dzików. Przeszły tędy minionej nocy do młodników i pól. W głębokim parowie

znalazł drzewko świerkowe. Otrząsnął je ze śniegu. Wyprostowały się symetrycznie ułożone gałązki. Uciął nisko u pnia. Położył na śniegu. Oplótł rzemieniem.

Jak w każdy zimowy dzień mrok gęstniał niedostrzegalnie i szybko, a w nim leżał czarną plamą las. Przyspieszył kroku. Strumień szumiał, gawędził w kaskadach. Wysoko, w czystym, mroźnym powietrzu rozblyskały gwiazdy. Coraz więcej ich przybywało. Z zachodu wlokła się mgła, wróżąc mroźną noc. Tak chciał być z nimi, w domu, razem. Rozpierzchli się po świecie. Pobędą chociaż kilka dni.

Wyszedł na pola. Wielka sowa zapadła w kępie drzew. Wieś rozblyskiwała światłami okien. Poszczekiwały psy, a on, stary, niesie drzewko. Ładna będzie choinka pachnąca borem. Widział na jej szczycie pełgające światła. Uzmysłował sobie, że to gwiazdy tak świecą. Jutro znów wszędzie słońce za lasem wciśniętym w zakole rzeki. Ale najważniejsze, że oni tu do domu przyjadą... I znowu będą razem jak kiedyś.

Tomasz Korbanek

* * *

**Krzykiem oznajmiła światu
swoją obecność.
Chwytając powietrze
w pęcherzyki płucne
głośno zapłakała**

**Narodziła się w nocy
w Betlejem
miłość.**

Joanna Ziemińska-Kurek

Jultomten&Julklappen, czyli święta po szwedzku

Niby ta Szwecja blisko, o rzut beretem przez plażę w Pobierowie lub jak kiedyś śpiewał Rosiewicz, o trochę dłuższe pływanie na dmuchanym materacu. Trzeba jednak sobie uświadomić, że od krańca, na którym wylądował rzeczony beret albo delikwent porwany przez fale Bałtyku, do krańca, gdzie renifery zasypiają na stojąco, jest 2,7 razy tyle kilometrów, ile liczy Polska po przekątnej od Świnoujścia do takich na przykład Ustrzyk Dolnych. Albo tyle, ile od południowego wybrzeża Szwecji do Neapolu we Włoszech.

Niby ta Szwecja wielka, bo prawie taka jak Hiszpania czy Francja, a mieszka tutaj o połowę mniej ludzi niż w malutkiej Holandii.

Niby ta Szwecja szwedzka, a przecież co piąty mieszkaniec jest imigrantem. W dodatku jakieś 85% to muzulmanie.

Niby ta Szwecja bogata, a przecież trwa tu pamięć o niesamowitej biedzie, która była przyczyną wielkiej emigracji zarobkowej do Ameryki. W drugiej połowie XIX w. szukał tam chleba co czwarty Szwed. Tylko w 1890 r. wyjechało ich 800 tys.

Niby ta Szwecja ochrzczona w 1008 r., ale dopiero w 2000 r. wprowadzono tu zasadę rozdziału państwa od Kościoła. Do tej pory luteranizm był religią państwową i to kościół pełnił rolę urzędu stanu cywilnego. A przecież najważniejsze szwedzkie święta: Walpurgia czy Midsommar to czyste wody pogaństwo.

I mimo że coraz popularniejszy model rodziny to rodzina „patchworkowa” (on+ona+ich dzieci+jego dziecko z pierwszego związku+jej dzieci z pierwszego związku+dzieci jego pierwszej żony z pierwszego małżeństwa+dziecko pierwszej żony jej drugiego męża+dziecko drugiego męża jego trzeciej żony+itd...), wszyscy mają ze sobą poprawne relacje i nawet się spotykają przy wspólnym stole z okazji świąt.

Z tych wszystkich świąt najbardziej rodzinny jest Jul.

Nie trzy dni z przedłużeniem do Nowego Roku, ale cały adwentowy miesiąc trwa świętowanie. Dom jest obwieszony, obłożony, obstawiony: siedmioramiennymi świecznikami, gwiazdami, światełkami, bieżnikami, wazonikami, makatkami, które często wykonane były jeszcze ręką prababci. Tak, tak, to zasługa trwającego od dobrych dwustu lat pokoju. Wszystko to mogło przechować się na strychach drewnianych szwedzkich domków. Piecze się cieniutkie pierniczki i ciasto szafranowe (pachnie jak lekarstwo na żołądek), kupuje czerwone kwiaty i na drzwiach wiesza zielone wieńce.

W każdą niedzielę zapalana jest kolejna ze świeczek na czteroramiennym świeczniku i ro-

dzina raczy się gorącym glöggiem z rodzynkami, migdałami i skórą pomarańczową.

W samym środku adwentu – 13 grudnia – jeśli ktoś ma córkę, musi się liczyć z tym, że tego ranka zostanie obudzony arią „Sankta Lucia” przez latorośl ubraną w białą koszulę i w wianku z czterema świeczkami (na baterie) na rozpuszczonych włosach. Na osłodę dostanie do łóżka kawę i słodkie drożdżowe bułeczki. Chyba nie ma miasta, szkoły, przedszkola bez oficjalnego pochodu zjaw w białych koszulach ze świeczkami na głowie.

I choćby oglądając taki pochód, warto podnieść nieco wzrok, żeby zobaczyć, że niemal każdy Szwed przechodzi na balkonie zakupioną z miesięcznym wyprzedzeniem choinkę.

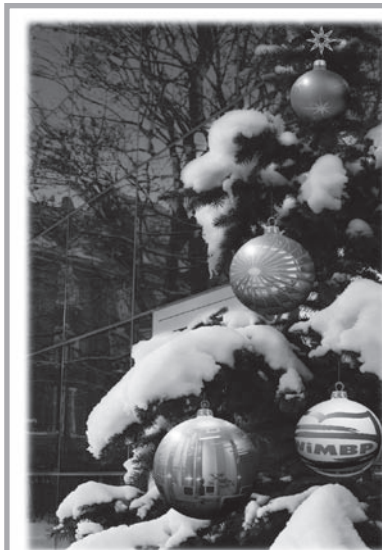
24 grudnia o godzinie piętnastej cała Szwecja zasiada przed telewizorami i ogląda od kilkadziesiąt lat wciąż te same filmy z Kaczorem Donaldem. Bez tego święta byłyby stracone...

Potem już można zasiąść do stołu i zgodnie ze starym zwyczajem umoczyć chleb w wywarze, jaki został po pieczeniu szynki. A jak już podje się tej szynki, żeberek, klopsików, siedmiu rodzajów śledzia, anchois, wędzonego i marynowanego łososia, ikry z sielawy, wielu gatunków sera, warzyw, deserów i popije czym tam kto ma, pośpiewa chórem „O reniferze Rudolfe z czerwonym noskiem”, wtedy przychodzi prawdziwy Jultomten, (a nie żaden Święty Mikołaj) i tym, co byli grzeczni, daje julklappen...

Eh, ci Szwedzi...

Niedawno usłyszałam, że dawniej Szwed kąpał się raz w roku, właśnie z okazji Bożego Narodzenia. Czy trzeba było czy nie. To już przynajmniej brzmi swojsko!

God Jul!



Niech radość i pokój
Świąt Bożego Narodzenia
towarzyszy wszystkim
przez cały Nowy Rok 2012!
Życzymy, aby był to Rok szczęśliwy
w osobiste doznania, spełnił zamierzenia
zawodowe i społeczne
oraz by przyniósł wiele satysfakcji
z własnych dokonań.

Dyrekcja i pracownicy
WIMBP w Gorzowie Wlkp.

Karol Graczyk

Tupolew ląduje w Uzbekistanie

3.

Ciepłe powietrze przewodzi ogień, a dzień mamy
wyjątkowo ciepły, nawet zimna wojna zbliża się
do końca. Tazkent w lipcu potrafi być upalny,
ale robota czeka, za trzy godziny startuje samolot,
stery czekają, więc obiad, buty, kluczyki od wozu,
kapitan wychodzi, żona się uśmiecha, choć martwi się
jak zawsze, on uspokaja, od tego jest, i niemrawo rzuca
Kocham cię bardzo, kochanie. Dbaj o dzieci.

2.

Samolot startuje planowo – Karsza,
Orenburg, Leningrad,
jutro do domu. Postój w Karszy planowo,
czas na Orenburg.
Wieczór nadaje koloru drzewom,
dziesięć kilometrów niżej
stawy parują ciepłą wodą, ziemia dymi się mgłą.
My to wiemy
stojąc na ziemi, oni nie widzą nawet szos,
to zaledwie szczeliny,
wąskie dwupasmowe rany lasu,
a przecież tyle jest domów poniżej,
a każdy to historia. Kocham cię bardzo, kochanie.
Dbaj o dzieci.

1.

Samolot wzniósł się zbyt szybko przy małej prędkości,
stabilność trafil szlag, trochę huczy, dudni,
trudno to opisać
nie będąc na pokładzie. Stres, niepokój,
dwieście osób za plecami
z pełną wiarą w życie. Nietrudno o błąd,
więc błąd się pojawia,
zmniejszenie prędkości, zła diagnoza,
zachodzące słońce
potrafi porazić. Obrót w dół po linii śrubowej
nie zostawia złudzeń.
Dwie minuty spadania z pełną świadomością,
za późno na ruch,
więc w kabinie hałas – i zupełna cisza.
Tylko kapitan, krótko,
bez zbędnych emocji, rzuca zdanie do czarnej skrzynki,

0.

a ona do żony: Kocham cię bardzo, kochanie.
Dbaj o dzieci.

Agnieszka Moroz

Sylvia otwiera skrzynkę z pszczołami

Pamięci Sylvii Plath

Sylvia nie należy do kobiet
które długo bawią się żyletkami
przesypują tabletki
z pojemniczka do ręki
i odwrotnie

Kiedy kładzie się spać
robi to na pewno
nie nastawia budzika i odkręca gaz

W jej snach
podłogi mają zapach mleka
wyciekającego
spod na pozór uszczelnionych drzwi
zbliżają się
a odpływ
osadza Sylwię na dnie
szybkoschnącej kałuży

Ted pływa pośród innej bieli
unoszą go słone fale kołder
i objęcia
w których można bezpiecznie tonąć
nie dotykając dna

Dzieci śpią
myśli Sylvia
śpią
ale myśl rwie się
i maleje prędko jak odbicie
drzwi w tężejącej źrenicy

Z otwartych ust
wylatują pszczoły
rojowisko brzęczących szaleńców
Od śmierci ojca mieszkali w jej gardle
tłumili głos

Marek Grewling

Palimpsest

Imieniny matki zastały mnie na wyspie Patmos
mam wiele czasu więc tu napiszę
apokalipsę o smokach i jaszczurach

moi strażnicy już dzisiaj cieszą się
sławą która spłynie na nich
to oni rozślwią me dzieło
to o nich będą mówić „uczniowie Jana”, tymczasem
po powrocie z wart chwalał się w papiliach:
„widziałem jak Jan płacze w celi”

udaję ślepca – nie dam poganom satysfakcji
nie powiedzą: „rozmawiałem z widzącym”
wystarczy, że mogą popatrzeć
to i tak nazbyt wiele dla sług pustyni
krążących wokół mnie jak demony
chcą słów proroka; bestia wielka nierządnicą
i smok starodawny pożra rodzącego słowa
Babilon lęka się słów jego trąby więc po siedmiokroć
ogłaszają wyrok na widzącego – śmierć jego słowom
kapłani Olimpu dzieci Hellady
kapłani Panteonu synowie Rzymu
mędrcy z zigguratów przyjaciele bóstw
wdychają zapach ciepłej krwi ofiar i ląkną
„żądamy krwi widzącego z Patmos” – piszą
chcą przeczytać meldunek: „nie ma już Jana”
chcą przeczytać: „wasi bogowie są bezpieczni”
ale śmierć nie dotyczy apokalipsy, która nadchodzi
nieuchronnie pewnym krokiem jak centurie
bordowych legionistów
która nadchodzi jak siedmiu jeźdźców

w moim mózgu pękają pieczęcie
jedna po drugiej siedem pieczęci, trzask wolności
trzask rozbitych posągów i nie ma już bogów
na Olimpie wietrznie między kolumnami
przeciagi i pustka
Panteon dawno opuszczony – zostali
tylko kapłani pokraczne bękarty kłamstwa

gdy jadłem książeczkę prorocत्व
caligae strażników skrzypiały
miażdżąc drobiny piasku
czułem słodycz w ustach
i ogień w trzewiach – tak miało być
księga prawdy zamieszkała w proroku
a jezioro siarki i ognia pochłonęło

mieszkańców zigguratów Olimpu i Panteonu
a radości mojej nie było końca
w dniu imienin mojej matki
bądź pozdrowiona matko
któraś porodziła proroka Jana

strażnik zatrzymał się przed moją celą
słyszę jego głos: „Jan się śmieje, Jan oszalał”

apokalipsa nadeszła
a szaty męczenników stały się białe

nie pochylę się nad losem paradygmatu
jego upadek jest wielki

Ireneusz K. Szmidt

Don Kichot XXI

Ciałem podobny do mnie
szedł bezdomny
bez szkapy
bez tarczy
bezbronny

Zdradził go wierny Sancho
odeszła Dulcynea
Rosynant życie w rzeźni skończył
Skrzydła wiatraków z aluminium
niebosiężne
Otarł łzę...

Idzie przed siebie pustym traktem
wiatr popiół ze spalanej ziemi
spod nóg mu zrywa, młynka kręci
energię trwoni, w pustym polu
rolnik wypala suchą trawę
Otarł łzę...

Idzie powoli
przed nim dym
a w dymie serce gorejące
ze szczęścia prawie nie oszalał
rozwarł ramiona skoczył i...
wbił się jak kopia
raz ostatni
w odbite w szybie auta
Słońce.

CHRISTA WOLF Z LANDSBERGU NIE ŻYJE

1 grudnia 2011 roku zmarła Christa Wolf, jedna z najbardziej cenionych pisarek niemieckojęzycznych. Pisarka została pochowana 13 grudnia o godz. 11.00 w grobie rodzinnym na cmentarzu Dorotheenstädtischen Friedhof w dzielnicy Berlin-Mitte. Tego samego dnia o godz. 19.00 w Akademii Sztuki w Berlinie odbył się wieczór pamięci poświęcony autorce. Wspominali ją członkowie rodziny, przyjaciele, goście. Na miejscu wyłożona była Księga Kondolencyjna. Miasto urodzenia Christy Wolf, obecnie Gorzów, na uroczystościach reprezentował prezydent Tadeusz Jędrzejczak.

Christa Ihlenfeld

Najwybitniejsza pisarka dawnej NRD – Christa Wolf (z domu Ihlenfeld) urodziła się 18 marca 1929 r. przy Placu Słonecznym nr 5 w Landsbergu. Nieco później jej rodzice wybudowali dom u zbiegu dzisiejszych ulic Konstytucji 3 Maja i Grottgera, gdzie mieszkali i prowadzili sklep spożywczy. W Landsbergu chodziła do szkoły, tu wzrastała i dojrzewała, tu przeżyła wojnę, a w styczniu 1945 r. z rodziną uciekła do Meklemburgii.



Rozmyślania nad kobietą

Druga powieść Christy Wolf – „Rozmyślania nad Christą T.” przenosi czytelnika w krąg problemów egzystencjalnych, filozoficznych, ale także politycznych. Napisała ją po pobycie w Republice Federalnej i na procesie oświęcimskim we Frankfurcie nad Menem w 1964 roku. Pomysł fabularny opiera się na rekonstrukcji portretu psychologicznego zmarłej kobiety na podstawie wspomnień, fragmentów pamiętnika, listów, zapamiętanych dialogów itd. Jak dotrzeć do wnętrza bliskiego – zdawałoby się – człowieka? Jak zrozumieć pobudki jego działania? Jak spoza banalnych gestów odczytać prawdę? To jeden ciąg pytań dotyczących fikcyjnej postaci Christy T. Ale jest w powieści i druga Christa – narratorka. Wprowadza ona czytelnika w krąg problemów związanych z procesem tworzenia. Podjęcie problemów dotyczących twórcy i procesu tworzenia stawia Christę Wolf w kręgu kontynuatorów myśli Tomasza Manna. „Rozmyślania” ukazują także rozłam między wymogami społeczeństwa a postawą samej protagonistki, dążącej do indywidualnego rozwoju. Właśnie ten brak spójności między obywatelem a państwem spowodował, że utwór ten do 1969 r. zatrzymywany był przez niemiecką cenzurę, a w polskim tłumaczeniu ukazał się dopiero w 1986 r.

Piętno kobiecości jest w tej powieści bardzo silne. Kobięca jest intensywność przeżyć, niegodzenie się na życie wśród pozorów, wyczulenie na różne odcienie fałszu, walka z uładowym widzeniem innych, nieobojętność. To nie dawna czułość i sentymentalna *Frauenliteratur*; to głęboka i mądra literatura drążąca człowieka i świat z pozycji społecznej i poprzez psychikę kobiety.

Christa T. i narratorka „Rozmyślań” wywodzą się z tych samych stron. Padają nazwy: Friedeberg (Strzelce Krajeńskie), Zechow (Czechów), Zantoch (Santok), Zanzin (Santoczno). Powracają wspomnienia dzieciństwa i pierwszych lat młodości, przeżycia z okresu wojny, ucieczki w styczniu 1945 r. Te sytuacje ożyją pełniej podczas krótkiego pobytu pisarki w Gorzowie w 1971 r. i okażą się tak ważne, że na ich kanwie powstanie najlepsza powieść Christy Wolf – „Wzorce dzieciństwa”.

Dla Marii Dąbrowskiej – ujmująca

Po skończeniu germanistyki w Lipsku podjęła pracę w Niemieckim Związku Literatów, była redaktorem „Neue Deutsche Literatur” (1953-1959). Z tych lat pochodzi pierwsza wzmianka o Chrście Wolf w literaturze polskiej. Jej portret utrwaliła Maria Dąbrowska w „Szkicach z podróży” napisanych po pobycie w NRD w 1955 r. W pamięci Marii Dąbrowskiej utrwaliła się jako „młoda, nad wyraz ujmująca osoba, podobno obiecujący krytyk literacki”. Gościom z Polski – Dąbrowskiej i Jastrunowi – Christa Wolf pokazała zdjęcie swojej córeczki. Ten zwyczajny, kobiecy gest wydał się Dąbrowskiej godny utrwalenia w relacji z oficjalnej podróży.

Historia podzielonej miłości

Christa Wolf debiutowała w 1961 r. „Moskiewską nowelą”, a powieść „Niebo podzielone” (1964) wprowadziła ją w krąg pisarzy NRD. Powieść ukazuje proces dojrzewania młodej dziewczyny do opowiedzenia się za NRD w warunkach istnienia dwóch państw niemieckich. Ta tematyka – bardzo żywotna w latach 60. – była podstawą do szerokiej dyskusji nad powieścią, sfilmowania jej, a autorce przyniosła nagrodę państwową.

Z perspektywy lat wątek polityczny stracił świeżość, natomiast niezaprzeczalną wartość nadaje powieści prowadzony równoległe wątek miłości. Ta jedna z piękniejszych historii miłosnych we współczesnej literaturze niemieckiej kończy się źle. On przechodzi na drugą stronę i dlatego niebo zostaje podzielone.

Siła dziecięcych piosenek

W lipcu 1971 r. na zaledwie dwa dni pisarka przyjechała do Gorzowa z mężem, bratem i córką. Wrażenia z pobytu w mieście G., które było niegdyś miastem L. (Gorzów i Landsberg łatwe w identyfikacji), stały się jedną z trzech warstw narracyjnych w powieści.

Dominującą funkcję uzyskuje we „Wzorcach dzieciństwa” warstwa wspomnień z lat 1932-1945. Przed oczyma czytelnika przesuwały się obrazy sytuacji rodzinnych, szkoły, zbiórek organizacji hitlerowskiej dla dziewcząt, kontaktów z ludźmi przywiezionymi na roboty przymusowe, odwiedzin w lazarecie zlokalizowanym w dawnym szpitalu przy Friedeberger Chaussee (dziś ul. Walczaka), kompleks przemysłowy przy tej ulicy. Jak każde wspomnienie z dzieciństwa i to także jest nawet przyjemne: pierwsze wyrazy uznania dla dziewczęcego wdzięku składane przez żołnierzy idących na front, postać nauczycielki dawniej uważana za świetlaną, działalność charytatywna, zaangażowanie emocjonalne, piosenki, których się nie da wymazać z pamięci – to jedna strona obrazu dzieciństwa. Druga strona – to obecna świadomość, czemu służyło zaangażowanie, charytatywność, a nawet śpiewanie piosenek w szpitalu chorym żołnierzom. I dlatego we wspomnieniu dawnych lat autorka nie przyjmuje formy pierwszej osoby (jak pierwotnie zamierzała), ale swojej bohaterce nadaje imię Nelly i operuje narracją w drugiej i trzeciej osobie liczby pojedynczej. Bliskość między bohaterką a narratorką jest bardzo wyraźna, ale to nie jest ta sama osoba.

„Wzorce dzieciństwa” traktują o trwałości tego, co człowiek wchłoniął w dzieciństwie. Także o tym, że życie ze świadomością niezawinionych grzechów jest szalenie trudne. We „Wzorcach dzieciństwa” nie ma łatwego optymizmu, nie ma odrzucania faszyzmu w imię socjalizmu. Jest natomiast przekonanie, że pokolenie Christy Wolf musiało przełamać prawidłowość, iż wiek dojrzały jest kontynuacją dojrzewania. Doświadczenia zebrane w latach faszyzmu trzeba odrzucić, tak jak odrzucono tamtą ideologię. Ale – pyta autorka – czy jest to w ogóle możliwe?

„Wzorce dzieciństwa” to książka o miłości do rodzinnego miasta L. (Landsbergu). Szczególnie wyraźnie widać to w partii z przywołaniem poety Gottfrieda Benn’a. W ostatnich dwóch latach wojny 500 metrów od siebie mieszkali 58-letni poeta Gottfried Benn i 15-letnia Christa. On był cenionym poetą ekspresjonistą, w latach hitleryzmu z zakazem publikowania. Jako lekarz wojskowy schronił się w landsberskich koszarach przed represjami ze strony władz hitlerowskich. Powieściowa Nelly nawet sobie wyobraża, że ten dojrzały poeta mógł musnąć ją wzrokiem, bo przecież chodzili po tych samych ulicach i tych samych schodach. Gottfried Benn nie mógł niczego publikować, ale w Gorzowie dużo pisał. W eseju zatytułowanym „Gorzowski fragment” w iście poetycki sposób ukazuje miasto: *Miasteczko na wschodzie, ponad nim ten płaskowyż, na nim nasz Monsalvat, jasnożółty budynek i ogromny plac ćwiczeń, coś jak pustynny fort. Ulice, po-*

łowa w dolinie, połowa na wzgórkach, niebrukowane; pojedyncze domki, do których nie prowadzą żadne drogi, licho wie, jak mieszkańcy do nich się dostają; płoty jak na Litwie – omszałe, niziutkie, mokre.

15-letnia wtedy Christa zupełnie inaczej widziała to samo miasto. Ona tu wzrastała, to miasto ją kształtowało, uczyło elementarnych praw życia. W powieści śmieje się z określenia Benn’a „miasteczko na wschodzie”, *bo wschód to dla Nelly był Królewiec i Gdańsk, to była Bydgoszcz, ale przecież nie jej własne miasto.* Dalej przywołuje obraz z prozy Benn’a: *Ulice, połowa w dolinie, połowa na wzgórkach, niebrukowane, pojedyncze domki, do których nie prowadzą żadne drogi* i komentuje: *Gdzie te ulice? Gdzie te domy? Jakże chętnie byś je zobaczyła.*

Dysydentka

„Wzorce dzieciństwa” ugruntowały czołową pozycję Christy Wolf w literaturze NRD-owskiej. Choć jest ona również autorką opowiadań wyrosłych z tradycji romantycznej, choć napisała interesującą minipowieść „Ni miejsca na ziemi”, w której Heinrich von Kleist rozmawia z poetką Karoliną von Günderrode o historii, o życiu i o śmierci, to jednak najważniejsze w dorobku autorki są jej utwory współczesne.

Od 1976 r. wyrażała krytyczny stosunek do polityki, choć do końca wierzyła w możliwość przetrwania zreformowanej NRD. Dla wielu czytelników na Wschodzie i na Zachodzie była przez lata moralną instancją NRD. Ze względu na przyjętą postawę Christa Wolf była często dyskryminowana. Czyniono jej wyrzuty, organizowano kampanie, ale nigdy całkowicie nie odrzucono. Ona sama także przyczyniła się do takiej oceny, chciała uchodzić za dysydentkę. Między innymi podpisała głośny protest przeciwko wydaleni z NRD opozycyjnego piosenkarza Wolfa Biermana, za co została usunięta z zarządu berlińskiego oddziału Związku Literatów NRD. Ale jednocześnie nie przestała być członkiem SED, a nawet w 1989 r. kandydowała do władz tej partii. Mimo tych sporów, a może właśnie dzięki nim, dzięki moralnej odwadze, autorka stała się pretendentką do literackiej Nagrody Nobla spośród wszystkich pisarzy niemieckojęzycznych.

Śledzona

W 1975 r. Christa Wolf napisała opowiadanie pt. „Co pozostanie?”, którego wówczas nie wydała. Ukazało się w 1989 r., gdy przerwany został mur dzielący dwa niemieckie państwa i gdy inaczej spojrzano na czasy komunistyczne. W opowiadaniu pozornie nic się nie dzieje. Znana eneradowska pisarka spostrzega, że jest śledzona. Przed jej oknami od kilku dni stoi samochód z trzema mężczyznami w środku. Nie robią oni nic poza obserwowaniem każdego kroku pisarki. Ona odnajduje w domu ślady obecności obcych osób, ale z góry wiadomo, że nie są to włamania kryminalne. Pisarka poddawana jest presji zastraszania poprzez ciągłą kontrolę. Nie buntuje się. Jediną nową re-

fleksją jest konstatacja nieznannej jej dotąd funkcji państwa jako generalnego nadzorcy. Gdyby opowiadanie wyszło w 1979 r., byłoby na pewno ważnym odkryciem. Opublikowane w końcu 1989 r. dało asumpt do dyskusji nad postawą nie tylko Christy Wolf, ale wszystkich pisarzy NRD. Przez prasę przetoczyła się napastliwa dyskusja, w której główną winowajczynią stała się właśnie pisarka, choć ona zawsze walczyła o godność człowieka.

Pod względem politycznym głośno o niej było również w 1993 roku, gdy ujawniono jej przynależność do Stasi. Ona odpowiedziała publicznym pokazaniem tylko trzech donosów, jakie napisała, w których nie oskarżała nikogo.

Powrót do dzieciństwa

Jesienią 1990 r., w okresie największej nagonki, Christa Wolf po raz drugi wróciła do rodzinnego miasta. Zaprosili ją państwo Czerczakowie, którzy uzyskali jej adres poprzez prywatne kontakty. Przyjechała z bratem. Jeszcze raz odbyła wędrowkę śladami młodości. Chętnie wchodziła do domów, w których mieszkała, a w których serdecznie była przyjmowana. Pojechała nad Wartę, do miejsc odwiedzanych przez dzieci przed wojną. Obejrzała historyczną wystawę i zbiory sztuki w „Spichlerzu”, stanęła na scenie gorzowskiego teatru w pełnym świetle reflektorów. Poprosiła o zawieszenie jej do domku babci w Dolnych Chwałęcicach. Dobrze się czuła w Gorzowie, choć z żalem stwierdzała, że miasto jest brudne. Była to miła, towarzyska wizyta, ale pisarka nie wyraziła zgody na oficjalne spotkania, odrzuciła propozycję wieczoru autorskiego, podziękowała panu wojewodzie za specjalne zaproszenie. Tę wizytę chciała utrzymać wyłącznie w ramach prywatnych.

Dopiero 19 września 1997 r. przyjechała oficjalnie, razem z grupą pisarzy polskich i niemieckich w ramach tzw. „Statku literackiego”, który płynął Odrą i Wartą. Christa Wolf była wówczas podjęta przez wojewodę gorzowskiego oraz prezydenta miasta. Tego dnia spotkała się z gorzowskimi czytelnikami w teatrze, a towarzyszył jej tłumacz i dziennikarz „Polityki” Adam Krzemiński, autor wielu artykułów o niej. Nie chciała, aby rozmowa koncentrowała się na wspomnieniach z dzieciństwa, ale mimo to ten wątek zdominował dyskusję. Dla niej też okazał się najważniejszy. Wyjęła z kieszeni orzechy zebrane pod drzewem posadzoną przez jej ojca obok rodzinnego domu przy ul. Asnyka. Była autentycznie wzruszona.

Ostatnie prace

Christa Wolf pisała do niemal ostatnich dni swojego życia. Ciekawe, że w zasadzie stale pisała o NRD, państwie, w którym żyła i z którym czuła się związana, ale które równocześnie w kolejnych książkach pokazywała coraz bardziej tragicznie, aż do groteski. W przełożonej na język polski powieści „Aż do trzewi” (2002) bohaterka – w której można rozpoznać autorkę – leży w prowincjonalnym NRD-owskim szpitalu, gdzie jest leczona na trudną do zdiagnozowania chorobę. Niestety, bez skutku. Szpital

jest tu metaforą stojącego na krawędzi katastrofy ustroju. W pamiętniku „Ein Tag im Jahr: 1966-2000” ukazuje wydarzenia i przemyślenia z jednego dnia – 27 września – w kolejnych 34 latach. W 2010 r. kontrowersje wywołała jej ostatnia powieść „Stadt der Engel” nawiązująca do nagonki związanej z jej współpracą z bezpieką.

W Gorzowie

W Gorzowie nie ma jeszcze żadnych śladów ani miejsc upamiętniających Christę Wolf. Śmierć wybitnej pisarki jest jednak dobrym momentem, by zatroszczyć się o przypomnienie jej związków z miastem urodzenia. Najlepszym byłoby wydanie „Wzorców dzieciństwa”, czyli książki-dokumentu życia w ostatnich latach niemieckiego Gorzowa, zawierającej ponadto ważny wątek biograficzny. W WiMBP im. Herberta stoją „głowy” gorzowskich pisarzy: Morawskiego, Dowgielewiczowej, Furmana. Może niedługo znajdzie się tam także „głowa” Christy Wolf? Robert Piotrowski proponuje, by skwer nad Kłodawką nazwać jej imieniem. Czekamy na inne propozycje. Na pewno pisarka, która tu wyrosła, nie powinna być w swoim mieście zapomniana.

Krystyna Kamińska



Dom rodzinny Christy Wolf u zbiegu ulic Grottgera i Alei Konstytucji 3 Maja.

Niemiecka bibliografia książek Christy Wolf liczy 28 pozycji. Po polsku ukazało się tylko sześć jej książek:

- Kota Maksymiliana nowe poglądy na życie**, Poznań 1976
- Niebo podzielone**, Poznań 1980
- Wzorce dzieciństwa**, Warszawa 1981
- Ni miejsca na ziemi**, Poznań 1982
- Rozmyślenia nad Christą T.**, Poznań 1986
- Aż do trzewi**, Warszawa 2006

z cyklu WYPOMINKI

Pałacowa impresja

dla Małgorzaty



Małgorzata z recepcji powiesiła się przy kanapie. Wcześniej pocięła dowód, karty bankowe, wyrzuciła telefon. Piętro wyżej w najlepsze trwał bankiet. Ktoś obmacywał chętną dziewczynę, ktoś inny markował picie. Bawili się.

Może na chwilę przed usłyszała: kiedy tańczę, niebo tańczy ze mną, kiedy gwizdzę, gwizdże w polu wiatr. A wiatr był tego dnia porywczy i nikomu nie chciało się schodzić na dół. Rzadko kto mijal jej rozpalone strachem oczy.

Fryzura i kolor włosów na merlin. Średni wiek. Drobne ręce, którymi podawała klucze. Nie było widać krawędzi. Wcale nie była smutna. To wszystko. Nic więcej nie wiem o Małgorzacie z recepcji, która powiesiła się przy kanapie.

Beata Patrycja Klary po raz drugi z rzędu została główną laureatką najstarszego i prestiżowego Konkursu Poetyckiego o Nagrodę Czerwonej Róży. Gorzowska poetka odebrała nagrodę w Gdańsku 4 listopada. W 1961 roku laureatem „Pierścienia” w głównej kategorii (za tom wierszy) tego konkursu i tytuł Księcia Poetów otrzymał patron gorzowskiej Książnicy Zbigniew Herbert. Beacie serdecznie gratulujemy i na naszych łamach z dumą odnotowujemy jej spektakularny poetycki sukces.

Pozostali laureaci: II nagroda – Rafał Baron z Gdańska; III nagroda – Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz z Głucholaz; wyróżnienia: Sławomir Grabowy z Gdańska, Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, Łucja Dudzińska z Poznania.

Marek Lobo Wojciechowski pogrzeb

Ptaki robią harmider, hałasują dzieci,
pytłują stare baby, kokoszą się młode,
w dali jojczy radiowóz, trzaska kosz na śmieci
wrzucany w gardło zsypu, gulgocze gdzieś woda,
płynąca rączko ściekiem. Pies ujada, leci
puszczone całą parą „Dzidzi Amoroso”,
z nieodległego bloku. Słońce gracko świeci
na dwóch kloszardów, w rowie,

co z pieśnią masową

„Góralu, czy ci nie żal” próbują się zmieścić
w kontrapunkcie do „Dzidzi”. Bliżej,

obok wdowy,

ksiądz mamle farmazony, grabarz klnie sąsiada –
jedynie facet w trumnie godnie się rozkłada.



Śpiewajmy poezję!

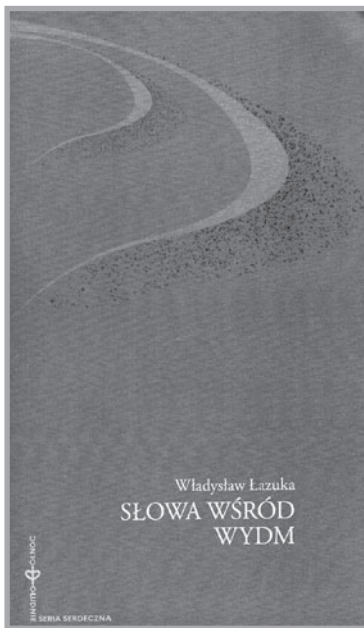
Konceptualny piasek

Kiedy w 2009 roku w finale ukraińskiej wersji programu „Mam talent” na scenę wkroczyła Ksenia Simonowa, cały kraj wstrzymał oddech. Niezwykle uzdolniona artystka przedstawiła widzom smutną, wojenną opowieść, posługując się techniką malowania piaskiem. Kilka garści sypkiego materiału wystarczyło Simonowej do stworzenia dzieła, które nie tylko przyniosło jej zwycięstwo, lecz także urzekło ludzi ze wszystkich zakątków świata (1.551.117 wyświetleń na youtube). Jakże inne twórcze możliwości daje ten ulotny i drobny pył, postanowił ostatnio pokazać Władysław Łazuka. W swojej najnowszej książce poetyckiej *Słowa wśród wydm* uczynił on z piasku wielowymiarową metaforę, przekazując za jej pomocą ważne prawdy dotyczące życia każdego człowieka.

Wchodząc w wykreowaną przez Łazukę rzeczywistość, odnosi się wrażenie, że składa się ona prawie wyłącznie z żywiołów. Najsilniejszymi z nich są woda i wiatr, symbolizujące odpowiednio: wszechświat oraz rządzące nim siły. Wszystkie żywe istoty występują zaś pod postacią ziarenek piasku – pojedynczych i bezbronych, określonych jako bezwolna masa („Piaski”). Ziarenka te zmuszone są do wiecznego oczekiwania na zewnętrzny bodziec, jakiś kuksaniec od natury, który (podobnie jak ręka Simonowej) wyzwoli w nich energię do działania. Fale wiatru niosą je więc na grzbiecie, umożliwiając wędrówkę, słońce łaskawie ogrzewa, śnieg białą otula do zimowego snu. Same nie znaczą nic.

Poprzez piaskowe obrazy autor snuje refleksje nad miejscem człowieka w świecie. Ukazuje jego małość, bezsilność i efemeryczność. Co warto podkreślić, w utworach poety przyroda nie jest dla ludzi sprzymierzeńcem. Jawi się raczej jako pierwotna siła, „rzucająca” nimi to tu, to tam, niczym ziarenkami pyłu, układającymi się na wydmach w rozmaite kombinacje, po których i tak w końcu nie zostaje żaden ślad. Łazuka nie poprzestaje jednak na ukazywaniu miejsca człowieka na Ziemi. Zaprasza czytelnika do znacznie bardziej skomplikowanych dywagacji na temat skali wszystkich elementów wszechświata. Podobnie jak internetowy program „Scale of the universe” porównujący wielkość i oddalenie od siebie różnych obiektów (np. DNA i komórki jajowej czy Ameryki i Plutona), poeta przedstawia ciąg porównań, pisząc: *Wobec prędkości światła/ jesteśmy jak żółwie/ a one w porównaniu z nami/ jak muchy* („Wobec prędkości światła”). Przerywa ów łańcuch skrótem „itd.”, aby zasugerować, że mógłby tak wymieniać w nieskończoność. W innym wierszu przypomina natomiast: *Idąc każdego dnia/ czy tego chcesz czy nie/ przesypujesz ziarenka/ piasku*. Myślę, że pragnie on w ten sposób przypomnieć o złożoności świata, ale również znaleźć pocieszenie – wszak nie jesteśmy istotami najmniejszymi, może w każdym ziarenku kryją się całe galaktyki? Z drugiej strony zbyt łatwo odwrócić to pytanie – co, jeśli nasza galaktyka jest tylko ziarenkiem pod czyimś butem?

Słowa wśród wydm to tomik konceptualny. Wyraźnie widać, że pomieszczone w nim wiersze wybrane zostały w sposób konsekwentny. Nieliczne zaś, które nie mają związku z opisanym przeze mnie tematem, zamknęto w osobnym rozdziale za-



tytułowanym „czasem przychodzi blues”. Jest to działanie zdecydowanie godne pochwały. W miarę czytania można czasem odnieść niemiłe wrażenie, że autor nadmiernie wykorzystuje wybrany przez siebie leitmotiv, natrętnie epatując wyrazami: piach, piasek i ziarenko. Taka dosłowność nie jest zaś czytelnikowi niezbędna do zrozumienia przesłania całości. Zazwyczaj wystarczy mu delikatniejsza sugestia.

Mocną stroną książki są zaś przepiękne obrazy, zdające się czerpać z konwencji haiku. W utworze „W nocy padał śnieg” podmiot mówiący opisuje pokrytą śniegiem taflę jeziora, porównując ją do czystej, czekającej na słowo kartki. Wiersz „Sztorm poszarpał” ukazuje natomiast poszukiwania bursztynu. Wygrzebany z mułu, pokrywającego morski brzeg kamień ten przypomina wyciągnięty z głębin okruch światła. Jest jak biblijna

światłość, której istnienie warunkuje mrok, zgodnie ze słowami: *Lux in tenebris lucet*.

Grafikę tomiku stworzyła Monika Szalczyńska. Składają się na nią delikatne, piaskowe ścieżki. Wspaniale dopełniają one całości, podkreślając, że „Słowa wśród wydm” to także traktat o przemijaniu, o odchodzeniu krętą drogą, z którym każdemu z nas przyjdzie się w końcu pogodzić.

Agnieszka Moroz

Za Gorzów in Touch, w którym pierwotnie wydrukowano tę recenzję: nr 2 (14), luty 2011, s. 41.

Władysław Łazuka – „Słowa wśród wydm” (wiersze)
Choszczno 2011, s. 64

Władysław Łazuka

Nad jeziorem

Porusza trzciny
liście i gałązki olch
goni fale
napręża linki
i żagle łodzi
unoszą ptaki
motyle obłoki

wiatr niewidzialny
widzę

Świt w zimie

Na zamrożonej
tafli jeziora
przeciąga się
biała
cisza

jak przebudzony
gronostaj

Babka jest trendy.

Ale dziadek jeszcze bardziej

*Jeśli jakieś zdarzenie powtarza się kilka razy,
to jest to przesłanie wyższych sił.*

Wiktor Pielewin

Więc po pierwszej babce została circa ćwiartka
kropli śliny
pod znaczkiem listu wysłanego z mniej więcej
zagranicznego zadupia
które jakoś po Jałcie okazało się całkiem
wziętym kurortem.

Po jej mężu a pierwszym dziadku któremu
powiodło się na ostatni
dzwonek zbiec z jakąś tam daleko dalej
niż sięgała zazdrość
babki została wredna cisza że słycać
jak suszą się grzyby
i biegają domowe robaki po desce do krajania cebuli.

*Na marginesie – e-cisza taka że słycać jak się
instalują wirusy (...)*

Więc dalej: jestem nieśmiertelnie skoncentrowany
na poszukiwaniach
tak zwanej tożsamości. Druga babka klepała biedę
i pacierze – tak
się rozpiął o swojej małżonce drugi dziadek
w skacowanej chwili
szczeroci zapisanej przy okazji jakiegoś
urzędowego wpisu ale
pieczołowicie zachowanego w domowych papierach.

*Nawiasem – nikogo z rodziny nie odnajduję w sieci
(...)*

Wasza mać żadnych bohaterów – że tak się
patriotycznie wyrażę. Mogę
sobie grzebać w różnych pamięciach wszędzie cisza
że największym
wysiłkiem jest nienadzwyczajne otwarcie ust.

Ani gadania ani słuchania.
Węch też bezużyteczny przecież pierwsze i drugie
dziadostwo nie używało
dezodorantów. Dotyk nie wchodzi do gry.
Zwyczajna formalina.

*Przy okazji – zwalniał pamięć z twardo niezapisanych
rodziny tajemnic; takie tam spamy sumienia (...)*

Więc nikt nie zauważy nie przeczyta nie wysłucha
Nie zaistnieje
w pięciu minutach pogłębionej poetycko respiracji

Racje. Lub poetica

1. trzeźwy dzień święty święci pijany świeckie noce
przeklina
puste lodówki puste głowy to nie pleonazm
to dylemat
nie zabijesz karalucha biegnącego wzdłuż chlebaka
żeby nie wyżał ostatnich okrucich beczennie
głodnego chleba
2. prawdziwych mężczyzn poznaje się w necie
jak prawdziwych przyjaciół w biedzie
mówi kobieta w przedziale krzyż-buk
a ja nie mam takiego pociągu
albo nie ma takiej relacji
3. więc czym się różni proza od prozaku
albo poeta od peta

Hasła (z teki kopyrajtera)

- Zostań moim rezydentem „p” możesz sobie wsadzić
w belweder.
- Ssij mleko będziesz droższy.
Cała polska czyta cieciom.
- Czas jest wrogiem wszystkich. Daje sobie
z wszystkimi radę.
- Uli zez jest wędrujący a cham leci donikąd.
Lepsza benzedryna Keouraca
niż orgony Burroughsa.
- Człowiek – mechanizm doskonały.
Wszystko przerabia w gówno.



Czesław Markiewicz
– uznany poeta
i prozaik, także au-
tor większości au-
dycji o kulturze i
literaturze lubuskiej
w Radiu Zachód,
autor wielu tomików
poetyckich, powieści
i opowiadań, został
ostatnio uhonorowa-
ny Główną Nagrodą
w V Konkursie Poe-
tyckim im. Wacława Iwaniuka w Siedliszczach. Nagrodą
było wydanie nagrodzonego tomu wierszy pt. „80. urodzi-
ny Marylin Monroe”. Starannie opracowaną edytorsko
książkę wydało Wydawnictwo TAWA w Chelmie.

Jubileusz literacki w Żarach

Żarskie, a obecnie już wyraźnie raczej żarsko-żagańskie, środowisko literackie (może raczej skupisko) bez wątpienia nabiera nowej jakości i liczebności. Przede wszystkim stało się wielopokoleniowe. Ciągłe jest jednak na dorobku i nie może się równać z prężnym Gorzowem ani z Zieloną Górą. Poeci, oczywiście, tu byli tymi, którzy jako pierwsi zawiązywali podwaliny literackiego środowiska, peryferyjnego, bo peryferyjnego, ale jednak. W latach sześćdziesiątych zawiązali grupę poetycką „Dziwini” (1962). Dzisiaj wzbogacają je i nadają mu rangę również prozaicy (E. Derylak, Z. Kozłowski, K. Zychła). Od początku filarem i inicjatorem tych działań był – i zasług rozlicznych nikt mu nie odbierze – Janusz Werstler. Jego dokonanie literackie jest też najdojrzalsze. Tematycznie w dużym stopniu poświęcone Żarom. Obecnie nowe pokolenie nazwisk nadaje ton temu coraz ciekawszemu skupisku twórców słowa. W ostatnich dziesięciu latach pięciu autorów uzyskało członkostwo w ZLP, spełniając określone wydawnicze kryteria. Zarazem tyle samo lat istnieje tu Klub Literacki. I wydaje powoli swoje owoce. Niewątpliwie mogą one mieć miejsce za sprawą istniejącej tradycji, która w tym mieście jest przykładowo, mimo że z przerwami, jednak kultywowana. Zasługi na tym polu mają różni ludzie i różne instytucje. Mało kto dziś pamięta, jak bardzo dużo dobrego dla sztuki słowa zrobiła „Kronika Ziemi Żarskiej” za redakcji Zdzisława Dąbka. Obecnie największym organizacyjnym wkładem w lokalną sprawę literacką może się pochwalic Miejska Biblioteka Publiczna, która od kilku lat patronuje bardzo udanej dorocznej imprezie, czyli Majowym Spotkaniom Literackim „Pod Magnolią”. Impreza adresowana jest do twórców żarskich, ale corocznie gościnnie biorą w niej udział także pisarze z Zielonej Góry, co przydaje spotkaniom kolorytu i znaczenia. Bywało, że z roku na rok coraz liczniejsze (wręcz tłumnie) grono zielonogórskich autorów (i nie tylko) zjawiało się w Żarach. Niewątpliwie atrakcją poza literackimi kontaktami, które odbywały się i nadal odbywają w ładnej, jasnej, bibliotecznej salce, była także suta biesiada sponsorowana przez żarskiego biznesmena Andrzeja Wojtaszka. Towarzyszył jej swoisty turniej i nagroda poetycka przez niego fundowana. I tej biesiadzie (piknikowi z kiełbaskami) właśnie, dość niefortunnie, był podporządkowywany za każdym razem przebieg „Spotkań...”. Akurat jakoś tak zawsze w najciekawszym momencie, gdy określone tematy się rozwijały. Toteż w tym roku, ponieważ z jakichś (finansowych) powodów impreza u Wojtaszka nie mogła mieć miejsca (a szkoda), dyr. Jan Tyra nie skracał już na szczęście czasu spotkania w bibliotece, czasu dyskusji i wymiany zdań. Rozmowy mogły toczyć się do woli, co chyba korzystnie wpłynęło na ich przebieg. Środowisko w Żarach wiele z takich rozmów może skorzystać, bo są mu ciągle potrzebne. Po dziesięciu latach działalności Klubu ocena mieszcowskich dokonań i sytuacji może jawić się pozytywnie. Nie szczędzono więc jubileuszowo wyrazów zadowolenia ze sprzyjającego klimatu stworzonego literatom w Żarach. Chyba jednak na wyrost. Pretekstem do takich poprawnych ocen była nie tylko obecność na „Spotkaniu” burmistrza miasta czy prezesa towarzystwa kultury, lecz przede wszystkim fakt wydania antologii Klubu Literackiego ZLP w Żarach pt. „Słowa spod Magnolii”. Książka ukazała się staraniem biblioteki, co wypada jej zapisać na plus, jak i całą praktykę wcześniejszą, polegającą na publikowaniu tekstów po

każdym spotkaniu w osobnych książeczkach, np. „Obraz mojej miejscowości w literaturze pięknej” (2010). Na pierwszy rzut oka można rzec, iż zrobiło się to środowisko już dość okazałe ilościowo. Są w antologii zaprezentowani wcześniej nieznani poeci i prozaicy, ale i ci mający już dorobek książkowy. Nie wiem, czy to wszyscy członkowie klubu. Chyba nie wszyscy. Nowi autorzy, jak np. Zofia Zawadzka czy Jerzy Szczegółski, stawiają zapewne dopiero pierwsze publiczne kroki. I dla nich druk jest ważny. Nobilitujący. Inni – np. Janusz Werstler, który szkoda, że jednak nie dał więcej wierszy o Żarach, a ma ich sporo, a w tej sferze jego słowo najbardziej się spełnia, czy Grażyna Rozwadowska-Bar lub Roman Rys – potwierdzają swoje umiejętności. Myślę, że ta książka ugruntowuje poczucie wspólnoty wszystkich jej autorów. Spotkanie się realnie i w przestrzeni książki może być powodem dodatkowych przeżyć i tożsamości. Oczywiście, antologia daje obraz lokalnych możliwości twórczych. Poeci dotykają codzienności, wspomnień, sfery uczuć, ale i głębi metafizycznych. Zarazem fenomen tej książki polega na tym, że nie hierarchizując paradoksalnie hierarchizuje teksty w swoim obrębie. Idąc tym tropem, mając wiedzę, jakie są poszczególne jej uczestników dokonania, możemy na nowo pozytywnie odkryć któregoś z autorów. I tak właśnie na przykład zwróciłem uwagę – bo wyraźniej dodarli do mnie – na wymowne, mocne wiersze Wiesławy Siekierki. Także na wiersze rosyjskiej poetki Nadieжды Myszlennik. U niej daje o sobie znać prawdziwe uniesienie poetyckie. Na bardzo dobry wiersz wskazał zaś Janusz Koniusz (red. antologii), a mianowicie na „Białą sukienkę” Małgorzaty Michalak, z czym się zupełnie zgadzam. Wcześniej ten właśnie wiersz w pewnym piśmie nie został nawet zakwalifikowany do druku. Tak to jest, gdy „znawcy” robią użytek ze swej władzy. Zostało to na żarskim spotkaniu bez ogródek powiedziane i ktoś się bardzo z tego powodu przynajmniej zawstydził. I dobrze, że chociaż tam sprawiedliwości stało się zadość. Takie to bywają paradoksy. Drama-



tycznie brzmi wiersz zmarłego Roberta Bochnaka. Z wydania tej książki wynikł też taki pożytek, że drukowana w niej proza Zbigniewa Kozłowskiego wywołała sporo radykalnych komentarzy w środowisku Biblioteki Wojewódzkiej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, albowiem dopatrzono się, że opisane sytuacje jej właśnie dotyczą. Na chwilę zapachniało małym, lokalnym skandalem. Chcę zauważyć, że jeśli środowisko żarskie potrafi zredagować antologię, która już spełnia kryteria artystyczne, to raczej dobrze ten fakt o nim świadczy, lecz chcę podkreślić, że na tym nie należy poprzestawać. Nie taki powinien być cel główny. Jeśli ma ono coś naprawdę znaczącego, musi być zdolne do większych dokonań. Liczą się bowiem nie tekstowe zbiorówki, ale dobre, indywidualne książki. To one ustalają prawdziwe hierarchie wartości i prestiż poszczególnych twórców. W Żarach sytuacja jest jednak taka, zwłaszcza wśród poetów, że na tym polu aktywność znacząco zmalała. Czekać wypada i warto na przyszłość „Spotkania”, gdyż mają jednak jakiś dobry klimat i urok pozbawiony patyny. Chodzi jednak także o to, by były to nie tylko spotkania towarzyskie, ale i intelektualne, wokół jakiegoś tematu, problemu, co bez większego trudu można przecież wymyślić.

Czesław Sobkowiak

Słowa spod Magnolii. Antologia Klubu Literackiego ZLP w Żarach, Żary, embepe, 2011, s.108.

15 i 16 listopada koledzy literaci z Zielonej Góry obchodzili 50-lecie istnienia swojego Oddziału. Z tej okazji odbyła się sesja naukowa pt. „Miejsce i tożsamość. Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii”, była uroczystość z wystawą, składaniem życzeń i prezentów przez władze i przyjaciół (także od ZLP i WiMBP w Gorzowie), wspomnieniami, medalami i spotkaniem towarzyskim. Wydano trzy znaczące książki.

Konferencja naukowa

Organizatorami konferencji byli: Pracownia Badań nad Literaturą Regionalną, Studenckie Koło Literaturoznawców działające przy Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. K. Norwida w Zielonej Górze. Przez dwa dni (15 i 16 XI) odbywały się obrady plenarne i następnie w grupach. Kierownikiem naukowym sesji była prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak z UZ. Referenci przedstawiali teoretyczne założenia poetyki przestrzeni oraz różne aspekty relacji miejsca i tożsamości autora. Niektóre wystąpienia dotyczyły konkretnych autorów, inne motywów, zdarzeń, miejsc związanych z miastem i obecnością tych motywów w twórczości. Referentami byli zarówno profesorowie, nie tylko z UW, jak i studenci, którzy pod okiem prof. Mikołajczak specjalizują się w poetyce przestrzeni. Gorzowskie środowisko reprezentowały: z PWSZ dr Katarzyna Taborska („Literatura i literackość w tożsamościowych periodykach miejsca – „Ziemi Gorzowskiej” (1945) i „Ziemi Lubuskiej” (1945/46)”) i dr Gabriela Balcerzakowa („Rekolekcje z Gąsiorkiem”), a także dr Krystyna Kamińska („Gorzów w oczach poetów”). Beata Patrycja Klary zgłosiła do programu swój referat („Dwa mikrokosmosy – utracone Nowosiele i przyswojony Gorzów Wielkopolski w autobiograficznej twórczości Marii Przybylak”). Dorobek twórców z kręgu gorzowskiego był także obecny w innych referatach.

Uroczystości

Gala w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. K. Norwida w dn. 15 XI br. rozpoczęła się od otwarcia wystawy dokumentów oraz książek członków oddziału ZLP pt. „Obecni nie tylko w książkach”. Dorobek Oddziału jest bardzo duży i bardzo ciekawy, w tym dużo gorzowianów. Wystawę tę można oglądać do końca roku.

Gala Jubileuszowa miała miejsce w Sali Dębowej WiMBP. Prowadził ją prezes zielonogórskiego Oddziału – Eugeniusz Kurzawa. Oprócz przedstawicieli władz miasta gośćmi byli: Marek Wawrzekiewicz – prezes Zarządu Głównego ZLP, Andrzej K. Waśkiewicz – przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej ZLP, Ireneusz K. Szmidt – prezes Oddziału gorzowskiego, licznie zebrani zielonogórscy literaci i ludzie kultury. Senior środowiska, jedyny żyjący członek-założyciel oddziału – Janusz Koniusz ciekawie wspominał minione 50 lat. Były odznaczenia, nagrody, gratulacje i życzenia. Wiersze Papuszy w oryginalnej interpretacji mówiła Lidia Kurzawowa, żona Eugeniusza.

A potem były długie rodaków rozmowy przy (nie tylko) ogromnym torcie ufundowanym przez Urząd Marszałkowski.



Wydawnictwa

Z okazji jubileuszu przygotowano trzy książki. Środowisko zielonogórskich pisarzy zostało wnikliwie sportretowane przez prof. **Małgorzatę Mikołajczak** w książce „Zbliżenia – Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej” – pierwszym tomie uniwersyteckiej serii „Historia Literatury Pogranicza”.

„Na winnicy” – leksykon literatów zielonogórskich opracował **Alfred Siatecki**. Książkę otwiera rozdział „Szkice do portretu środowiska literackiego”, będący historią Oddziału. Każdy z 67 twórców związanych ze Środkowym Nadodrzem zaprezentowany jest biogramem oraz bibliografią twórczości. Leksykon podzielony został na trzy rozdziały: 1. Członkowie Oddziału ZLP w Zielonej Górze (30 nazwisk), 2. Osoby, które przeniosły się do gorzowskiego lub gdańskiego Oddziału ZLP lub przestały należeć do Związku (16 nazwisk), 3. Zmarli członkowie Oddziału ZLP (21 nazwisk).

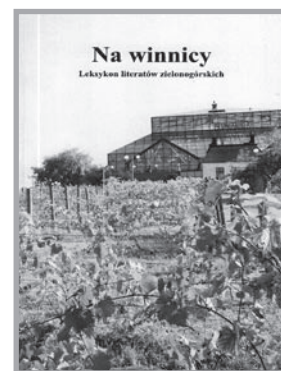
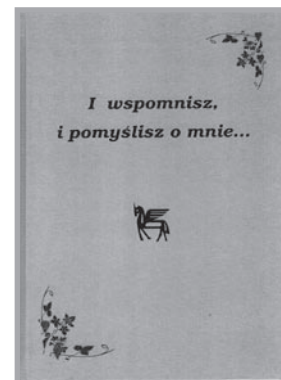
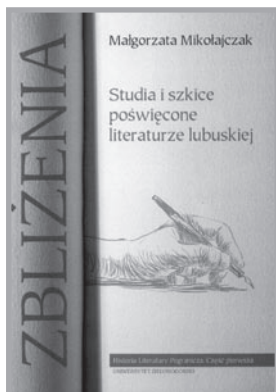
„I wspomnisz, i pomyślisz o mnie... – Pamiątkowa księga wierszy członków Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze 1961 – 2011” to antologia literacka, którą przygotowali Janusz Koniusz i Robert Rudiak. Włączono do niej po 5 wierszy każdego z 50 kandydatów lub członków Oddziału ZLP, którzy zajmowali się poezją. Poza tą grupą było jeszcze 17 osób, które nie pisały wierszy, a tylko różne formy prozatorskie lub dramaturgiczne. Kolejność – zgodnie z datą urodzenia. Księgę otwierają wiersze najstarszej członkini ZLP – Papuszy, a zamykają najmłodszej – Agnieszki Kopaczynskiej-Moskaluk, teraz z Gorzowa, a wcześniej także związanej z Zieloną Górą.

Podziękowania i gratulacje

Gorzowski Oddział ZLP cieszy się ze swojego 5-lecia, gdzie mu więc do półwiecza, które świętowali „Koledzy zza między”. Choć nasz Oddział powstał z oddzielenia się od zielonogórczyków, choć w ten sposób wydatnie pomniejszyliśmy liczbę członków tamtego, w żadnym momencie obchodów nie nadano tej secesji negatywnego odczucia. W Zielonej Górze podział uznano za zjawisko naturalne, podobne do tego, że gdy dziecko wyrośnie, odchodzi z rodzinnego domu na swoje. Zarówno w leksykonie, jak i w antologii obecni członkowie gorzowskiego Oddziału, którzy kiedyś byli w zielonogórskim, zostali potraktowani na równi z zielonogórczykami. Taka postawa potwierdza, że wśród ludzi kultury nie ma rywalizacji, a jest dobra współpraca.

Dziękujemy kolegom za taką postawę, gratulujemy złotego jubileuszu i życzymy drugie tyle w dobrym duchu i zdrowiu.

Ireneusz K. Szmidt



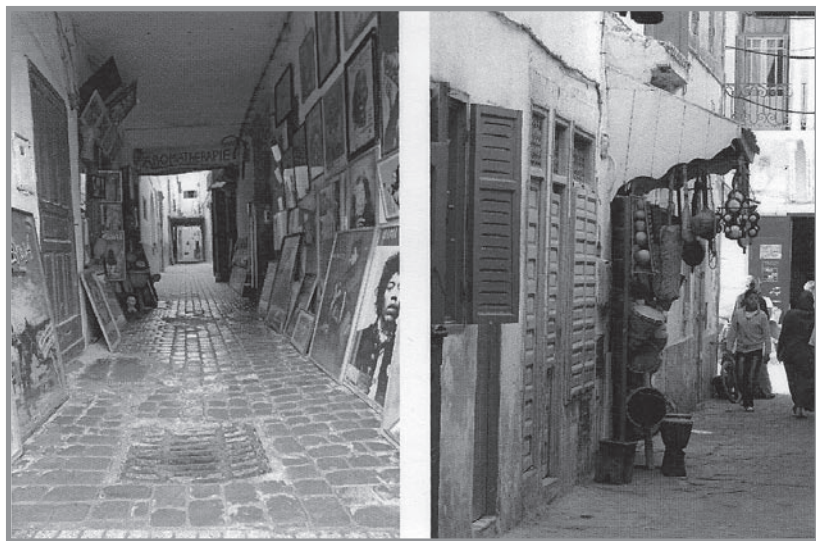
ESSAOUIRA (Issauera) – MIASTO WIATRU

wystawa w WiMBP

Ujrzałem je z pewnej odległości, jeszcze z autobusu, wielka przestrzeń, w dole miasto, niezbyt duże, a za nim tylko błękit oceanu. Niecierpliwie czekałem na chwilę, w której stanę na brzegu, usłyszę szum fal, krzyk mew... Miasto różniło się od poprzednich, które widziałem, dominował biały kolor budynków, których zdecydowaną ilość charakteryzowały kwadratowe kolumny i luki, bardzo geometryczne kształty, równoległe ulice, prostopadłe skrzyżowania wprowadzały uczucie uporządkowania. Same ulice nie były zbyt czyste, na chodnikach i przy krawężnikach wałało się pełno śmieci. To było nowe miasto, wolne od przeszłości i historii.

Wszystko zaczęło się, gdy przekroczyliśmy bramy starego miasta, otoczonego wysokim starym murem oddzielającym dwa różne światy. Główna aleja była szeroka, po obydwu stronach otoczona stoiskami, na których można było znaleźć w zasadzie wszystko, od niezliczonej ilości rodzajów oliwek, pomarańczy i mandarynek, najróżniejszych przysmaków, pamiątek, po koszulki piłkarskie czy produkty gospodarstwa domowego. Ta szeroka ulica tętniła życiem. Gdy tylko skręciliśmy w pierwszą boczną uliczkę, okazało się, że to jeden wielki labirynt wąskich tajemniczych zaułków. Wysokie strzeliste budynki zapewniały osłonę od słońca, a za każdym rogiem moją twarz witał tylko silny i chłodny podmuch wiatru, który sprawiał wrażenie strażnika tych tajemniczych zaułków. Gdy w końcu wspiałem się na mur osłaniający od zachodu miasto przed oceanem, najeżony od początku po sam koniec ogromnymi armatami, których lufy wycelowane były w kierunku oceanu, wiedziałem, że to miejsce, w którym już kiedyś byłem jako dziecko, bawiąc się klockami lego, moimi ulubionymi piratami, szukając starych map i ukrytych skarbów. To miejsce było magiczne, wszechobecny wiatr był duszą tego miejsca, ale jak się później przekonałem, nie było to tylko miasto wiatru. To było miasto kotów. Najróżniejsze gatunki, mieszane persy, dachowce i koty, których nigdy wcześniej nie widziałem, koty o niesamowitych kolorach oczu, puszystych ogonach, wylegujące się, spacerujące, odpoczywające w cieniu, były wszędzie. Zdjęcia, które zrobiłem, mam nadzieję, oddadzą te chwile, są to najprostsze chwile, pozwolą poczuć wiatr, zobaczyć koty, zagubić się na chwilę, gdzieś w wąskiej tajemniczej uliczce. Czasem mi się śnią te miejsca. Razem z wiatrem błądzą w labiryncie ulic pełnym kotów.

Bruno Korzeniowski



Bruno Korzeniowski, syn Adama, urodził się w 1987 r. we Wrocławiu. Od 1993 r. mieszka w Gościmiu, a obecnie w Gorzowie, gdzie studiuje na AWF-ie. Interesuje się filmem i fotografią. Swoje zdjęcia prezentował w Gorzowie w Klubie „Jedynka” w ramach wystawy „Migawki znad Nilu”. Jego credo: Ujrzeć szczegół pomijany przez innych, zobaczyć zdarzenia w innej perspektywie to to, co chciałby zawrzeć w swoich fotografiach.



Adam Korzeniowski, ojciec Bruna, urodził się we Wrocławiu w 1959 r. Ukończył wydział Melioracji Wodnych na Akademii Rolniczej we Wrocławiu, a następnie filozofię na wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu we Wrocławiu. Od 1989 r. mieszka w Gościmiu. Jego wiersze pojawiały się w prasie ogólnopolskiej, jest też laureatem licznych konkursów poetyckich. Wydał dwa tomiki wierszy: „Wiersze osobiste” (1999) oraz „Moja nadzieja” (2006). Był członkiem Stowarzyszenia Twórców Kultury „STYK” w Drezdenku, również członkiem grupy literackiej „Więzadło” przy Stowarzyszeniu Twórczym „Wena” w Gorzowie Wlkp. Zajmuje się także fotografią. Najważniejsze wystawy to: „Giną nie tylko ludzie” (2004) i „Moje pejzaże” (2005) w BWA w Gorzowie Wlkp., „Zimowe słoneczniki” (2006) w galerii salonu samochodowego Skoda w Gorzowie Wlkp., „Inny Bałtyk” (2008) i „Kambodża” (2010) w gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie Wlkp., „Gości” wspólnie z Marcinem Tomczakiem w Muzeum Puszczy Drawskiej i Noteckiej (2009), „Migawki znad Nilu” wspólnie z Brunem Korzeniowskim w Klubie „Jedynka” w Gorzowie Wlkp. (2011). Pracuje jako nauczyciel biologii i wychowania do życia w rodzinie.

Podwójny żywot Adama K.

Adam Korzeniowski jest jakiś taki... podwójny. Ukończył dwa kierunki studiów: Akademię Rolniczą i filozofię, uczy w dwóch szkołach, także dwóch przedmiotów, mieszka w Gościemiu, ale stale obecny jest w Gorzowie. Nawet artystycznie wyopowiada się w dwóch dziedzinach: w fotografii i w poezji. W dniu promocji „Pegaza Lubuskiego” (15 XII br.) w naszej Książnicy otwarta została jego wystawa fotograficzna, a zaraz potem publiczność została zaproszona na promocję nowego tomu wierszy Adama. Tu wyjątek – jednego i napisanego samodzielnie przez Adama. Ale żeby utrzymać podwójność, wystawę fotograficzną przygotował razem z synem, Brunem.

Ten samodzielny tom wierszy nosi tytuł *Świadectwo profana* i jest trzecim tomikiem Adama Korzeniowskiego. Wcześniejse to *Wiersze osobiste* i *Moja nadzieja*. Tomik najnowszy wydał gorzowski oddział Związku Literatów Polskich także z nadzieją, że pomoże on autorowi wstąpić w szeregi tego związku, jako że trzy tomiki to jeden z dwóch (znów dwóch) warunków przyjęcia. Drugi to poziom utworów, który ocenia komisja kwalifikacyjna. Jestem przekonana, że nie będzie miała zastrzeżeń. Mnie te wiersze się podobają, bo jest w nich rodzaj refleksji jednoczący miłośnika przyrody i filozofa. Zacytuję tu nieco zabawny, a jednocześnie jakże mądry wiersz „Groźby karalne”:

Czy jeżeli wypilem trochę alkoholu

I w takim stanie

mówię –

Uważaj bo cię zabiję,

Uważaj, zabiję cię

Jeśli jeszcze raz tu się zjawisz

Jeszcze raz spróbujesz

Usiąść mi na głowie

I mówię to

do mojej młodszej siostry

Lub do mego młodszego brata

Który jest muchą

Czy to już jest

Groźba karalna?

No właśnie. Prawo chroni psy, koty, także krowy, konie. A co z muchami? Dlaczego zabicie muchy traktujemy jak odruch naturalny? Przecież to też żywe stworzenie. Adam Korzeniowski uczy nas patrzeć na świat tak, jak on go widzi. W jego wierszach ważne jest przesłanie wyrażone językiem poetyckim. Często wyrażone jest ono nie językiem metafory, lecz skrótem myślowym z takim doбором argumentów, że czujemy się powaleni pointą. Jak w wierszu pod tytułem „Polacy”:

Rosjanie nie lubią Polaków

Litwini nie lubią Polaków

Białorusini nie lubią Polaków

Ukraińcy nie lubią Polaków

Czesi nie lubią Polaków

Niemcy nie lubią Polaków

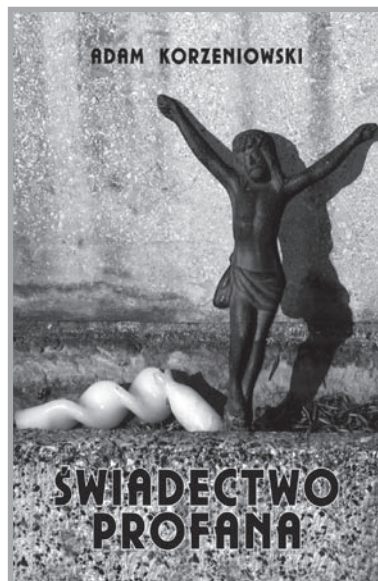
Żydzi nie lubią Polaków

Romowie nie lubią Polaków

Polacy nie lubią Polaków

Jestem Polakiem

Nie lubię siebie



Na szczęście obok wierszy będących – jak mówi tytuł wiersza – „Świadectwem profana” są w tym tomie wiersze prawdziwie liryczne, nawet tkliwie. Taki miód na serce. Ton czułości przeznaczony jest przede wszystkim dla kobiet, ale nie mogą sobie odmówić choćby wzmianki o wzruszającym wierszu pod tytułem „Ben”. A Ben to pies, który niestety zakończył żywot.

Profan z tomu Adama Korzeniowskiego to zwykły człowiek, tyle że myślicy i czujący więcej. Jak to poeta.

Adam Korzeniowski, Świadectwo profana, Wydawcy: Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., Wydawnictwo Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, s. 60, fot. autora

Adam Korzeniowski

* * *

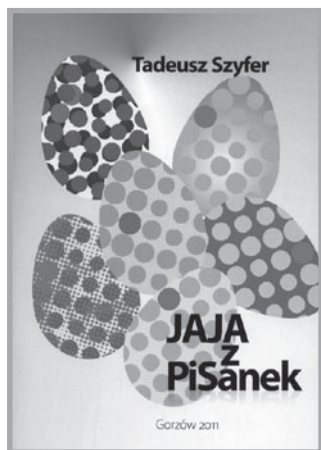
**Co z nami będzie
gdy się nie spotkamy
gdy w martwym tłumie
się nie rozpoznamy
– Co z nami będzie**

**Co z nami będzie
kiedy się minimy
gdy chłodnym wzrokiem
tylko się muśniemy
– Co z nami będzie**

**Co z nami będzie
kiedy już umrzemy
kiedy w imionach swych
skamieniejemy
– Co z nami będzie**

REKLAMA

**jeżeli nagle złapie cię głód
zjedz kawałek
chleba**



Jaja z PIS-u i z innych po trosze

Z trudem dotarłam do nowego zbioru fraszek Tadeusza Szyfera. Każda kolejna książka tak dobrego autora jak Szyfer powinna być nie tylko zauważona, ale wręcz fetowana. Tymczasem ta przemyka gdzieś opłotkami. Nie wiadomo, kto ją wydał, zrobiona jest byle jak, w wyglądzie i zszyciu spina-czami bliższa zwykłej broszurze niż książce, nie ma jej w sprzeda-

ży. No, ale dotarłam do niej, w czym pomógł mi Dział Regionalny gorzowskiej biblioteki. Mogę więc również Państwa tam odesłać.

Nie wiem, czy tajemniczość tej książki wiąże się z jej tytułem „Jaja z pisanek”? W słowie „pisanek” graficznie wybija się „PiS”. Czyżby autor bał się politycznych odgłosów swojego wyboru? Tematycznie fraszki wiążą się z polityką, ale nie wyłącznie z PiS-em. Szyfer przypomniał tu fraszki stare, oczywiście dodał nowe, bardzo aktualne. Nie mam nic przeciwko przypomnianiu starych, jednak tylko wtedy, gdy są jeszcze czytelne, gdy możemy je celnie skojarzyć. Na przykład jak w tej znanej, ale wiecznie żywej sentencji: *Najbardziej zryta / droga do koryta*. Natomiast zupełnie odeszła w zapomnienie aktualność krótkiej fraszki *Dostatki za statki*. Któż pamięta, że w latach 70., a może nawet 80. wmawiano nam, że Polska uzyska gospodarczy dostatek budując statki dla Związku Radzieckiego? Budowaliśmy, budowaliśmy, ale efektów nie było. Przypomniałam ją, bo fraszka, choć ulotna, też może być dokumentem swoich czasów. W książce, oczywiście, znacznie więcej jest fraszek aktualnych.

Tadeusz Szyfer ma rzadki talent niezwykle celnego nazywania kilkoma słowami całych procesów czy zjawisk społecznych. A do tego do rymu. Dla udowodnienia – wybrane fraszki najpierw o ogólnej wymowie politycznej: „Barwy historii”:

Białą plamę wyjaśniono / Okazała się czerwoną.

Fraszka pod tytułem „Skrót myślowy”:

Niejednego posła męczy problem teraz:

Skąd się tutaj wzięła ta pierwsza litera?

Albo fraszka pod tytułem „Definicja”:

Ciężką pracę bez wyniku / Nazywamy polityką.

Proponuję kilka fraszek o aktualnych partiach politycznych. Zacznijmy od Platformy Obywatelskiej: „Obywatelu...”:

*Każda platforma, chyba o tym wiesz,
że ma swoje koła, ale kanty też.*

A o drugiej partii. Tytuł fraszki: „Sprytny”:

*Prawo i Sprawiedliwość – osobno dlatego,
że jedno z drugim nie ma nic wspólnego.*

Fraszka „Przerażenie”:

*Nawet kwoka głośniej gdacze,
Gdy na jajo trafi kacze.*

Fraszka „Politykom” Tadeusz Szyfer napisał dawniej, ale ostatnio nabrała aktualności:

*Droga do kariery nie zawsze jest dobra,
Gdy na kaczych dolach wpadnie się po ziobra.*

Na zakończenie „Smutna refleksja”, a to też tytuł fraszki:

*Taki w polityce paradoks prawdziwy:
Martwy znaczy więcej aniżeli żywy.*

Wielkie tragedie małych ludzi

W trzech wcześniejszych tomikach poetyckich Marii Borcz uwagę czytelników i recenzentów zwracały wiersze o dzieciach niekochanych. Autorka wzięła sobie do serca te pochwały i jako czwarty przygotowała tom pod jednoznacznym tytułem „Bidul”. Jak wiadomo, to żargonowa, nieoficjalna, ale jakże smutna nazwa domu dziecka. Dużo mamy domów dziecka, w nich dużo dzieci. A każde z nich wnosi własną, na ogół tragiczną historię. Wiersze Marii Borcz to jakby interwencyjne reportaże o ludziach potrzebujących pomocy. Dziennikarz na każdy z tych tematów napisałby długi tekst. Poetka zamyka problem w kilku wersach. Ale właśnie to ujęcie wydaje mi się bardziej ostre, a jednocześnie serdecznie wzruszające. Tytuły wierszy podkreślają autentyczność. To imiona konkretnych osób: „Agata”, „Aniela”, „Damian”, „Leszek” i tak dalej. Posłuchajcie historii Bronka: *jak przedmiot / nikomu niepotrzebny / przenoszą go / z domu do domu / nigdzie nie zapuszcza korzeni / usycha // martwego / lodowatość już nie zrani*. A oto historia Dobrochny zamknięta w jednej scenie: *dzisiaj jej matka / przypomniła sobie / o imieninach córki // w schizofrenicznym amoku / odwiedziła ją w szkole // przyniosła skrzypce / zagrała sto lat // zrobiło się zbiegowisko na korytarzu / teraz solenizantka płacze*. Taki obraz zapada w pamięć. I w serce. Co czuje dziewczynka, którą matka w dniu jej imienin „odnajduje” w szkole i śpiewaniem „sto lat” ostentacyjnie demonstruje swoją miłość? Widowskimi przekreśla to, co Dobrochnie jest najbardziej potrzebne: codzienną troskę, czułość, zwyczajne relacje między matką a córką.

W pierwszej części tomiku Maria Borcz częściej oddaje głos samym dzieciom. Dzieci z domów dziecka są mądre, uważnie obserwują świat, celnie wyciągają wnioski. Ale nie wszystkie obserwacje mogą być ich udziałem. Bardzo przekonuje mnie wiersz o pani Zosi, czyli wychowawczyni: *pani Zosia troszczy się / podtyka smakolyki / staje w obronie / wdzięczy się / zabiega o miłość / Nie lubię jej / chce zastąpić mamę*. Ale inny z młodzieżowym żargonowym tytułem „Mam przechlapane” moim zdaniem wykracza poza krąg dziecięcych obserwacji: *widzą we mnie tylko zło / śledzą / kamienują językiem // poszukiwanie winowajcy / zawsze zaczynają ode mnie // jestem jak Kain / naznaczony piętnem / choć nie zabiłem nikogo*. Sądzę, że wiersz zyskałby, gdyby autorka potraktowała go jako własną obserwację.

Dzieciom z wierszy Marii Borcz najbardziej brakuje miłości. Wychowane z takim defektem nawet po wejściu w dorosłe życie nie potrafią radzić sobie w kontaktach z ludźmi. Bidul daje im piętno na całe życie. O wielkich tragediach małych ludzi Maria Borcz mówi niezwykle oszczędnym językiem, jakby tylko szkicując problem. Nie szuka sposobów jego rozwiązania, bo to nie jest zadanie poety. Autorka spośród wielu ziemskich spraw wyciąga jej najbliższą. W pogoni za dobrobytem my wszyscy zbyt często pomijamy ją milczeniem.



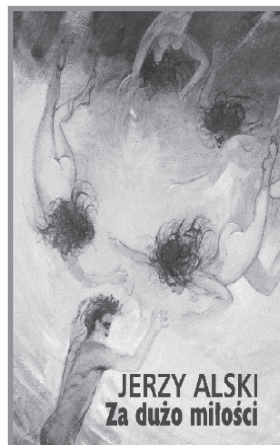
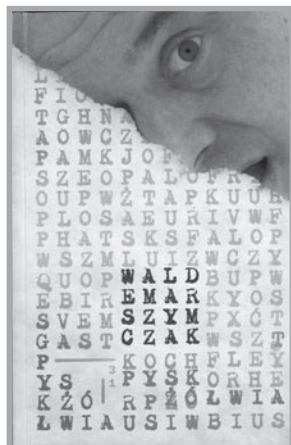
Pysk żółwia z szuflady

Na końcu książki pod tytułem „Pysk żółwia” jej autor – **Waldemar Szymczak** postawił datę – 1987. A drukiem ukazała się dopiero niedawno. Minęło więc ponad 20 lat od napisania do wydania. Gdy pisał tę powieść, był młodym nauczycielem języka polskiego w renomowanym gorzowskim liceum. Potem pojechał na kilka lat do Włoch, tam pracował, a nawet wydał tom opowiadań, o których mówi, że były bardziej ćwiczeniem językowym niż literaturą. Ostatecznie wrócił do Polski, do swojego liceum i do uczniów. Także do książki. Wyciągnął więc Waldemar Szymczak swoją powieść z dolnej szuflady, przeczytał na nowo, trochę wyrzucił, trochę dopisał i wydał. Sprzedaje ją w jednej gorzowskiej księgarni, a więc szansę na szeroką popularność ma niewielką. A szkoda, bo niewiele rodzi się u nas książek prozatorskich, więc każdą należy powitać z uznaniem.

Główny bohater nie ma imienia. W powieści występuje jako Normalny. Również bez imienia jest jego młodsza siostra, postać ważna. O niej mówi się „Ja”. Matka i ojciec też nie są bliżej określani. Za to każda z licznych postaci epizodycznych ma swoje imię, często także nazwisko. Po dwóch latach nieobecności Normalny przyjeżdża do rodzinnego domu. Nie wiemy, gdzie był, ani co w świecie robił. On płacze informacje o sobie. Zatrudnia się w szkole jako nauczyciel, ale szybko odchodzi z tej pracy. Właśnie zbliża się Boże Narodzenie, więc mnożą się rytuały rodzinne i społeczne. W ostatnim rozdziale niby dowiadujemy się, co Normalny robił i po co wrócił, ale jest to uzasadnienie na tyle niewiarygodne, że czytelnik nie traktuje go poważnie. Bo też nie w fabule rzecz.

Książka podzielona jest na osiem rozdziałów, jak siedem dni tygodnia i ostatni zatytułowany „Chaos”. Każdego dnia Normalnemu zdarzają się liczne przypadkowe spotkania niepowiązane linią fabularną. Są one okazją do sprawdzenia, czy Normalny naprawdę jest normalny. Bo co też oznacza normalność w nas? Psychiatria nie odpowiedziała na to pytanie, a więc i literatura ma z tym kłopoty. „Pysk żółwia” Waldemara Szymczaka składa się z pysznie napisanych scen, które prowadzą do wniosku, że nie wiadomo, kto jest normalny, a kto nie. Taka konstrukcja nie ułatwia lektury. Przyznaję, czytając tę książkę byłam zmęczona piętnastu sytuacjami w zasadzie dla fabuły zbędnymi. Odkładałam więc ją, ale niebawem znowu do niej wracałam, by śledzić, co też autor nowego nawymyślał i jak ubrał w słowa kolejne zdarzenie z udziałem tego normalnego z nazwy bohatera, a nie-normalnego z zachowań. Bo w tej powieści nie fabuła jest ważna, ale jego, a może także nasze, relacje ze światem. Wszystko to obserwuje mądry, stary żółw, który jednak nie pomaga w decyzjach ludziom zamieszkałym w powieści.

Mimo słuszności i aktualności postawionej przez autora tezy, sądzę, że książkę źle zrobiło ponad 20 lat od napisania do wydania. Sytuacje, w których bohater się znajduje, nie mają piętna naszego życia, są nazbyt uniwersalne, a przez to nam dalekie. A przecież z przyjemnością donoszę o późnym debiucie Waldemara Szymczaka, cenionego pedagoga, który – mam nadzieję – poczuł przyjemność pisania i niebawem dostarczy nam nową książkę.



Miłość tu i teraz

Witam nowe gorzowskie wydawnictwo, czyli **Sonar Literacki**, które chce być wydawcą autorów przede wszystkim z naszego regionu. Jego pierwszą książką jest powieść **Jerzego Alskiego** p.t. „Za dużo miłości”. O autorze mogę powiedzieć tyle, że jest z zawodu lekarzem, co łatwo da się wyczytać z powieści, że mieszka w okolicach Gorzowa, że jest to jego debiut i że za pseudonimem

schował swoje prawdziwe nazwisko. Akcja powieści dzieje się współcześnie między Gorzowem a Szczecinem, a tematem głównym jest miłość. Ona, Natalia, lat 28, on Krzysztof, lat 50. Oboje są lekarzami, jeżdżą do opery w Berlinie, do galerii w Dreźnie popatrzeć na Tintoretta, w weekendy „jeżdżą na desce”, czyli uprawiają windsurfing, a wakacje najchętniej spędzają we Francji, swobodnie porozumiewają się w kilku językach. Polska klasa średnia. Takiemu modelowi życia sprzyjają otwarte granice i intelektualny poziom bohaterów. Czy autor jest optymistą? On twierdzi, że nie, że coraz więcej ludzi w naszym regionie tak żyje, a najpewniej będzie żyć niebawem. To tak na marginesie, bo w powieści nie ma żadnych ocen socjologicznych czy społecznych.

Krzysztof i Natalia zachwycili się sobą od pierwszego wejrzenia, ale różnica wieku ma zasadnicze znaczenie dla odbioru i analizy ich stanów duchowych. W Krzysztofie jest coś z Fausta: chęć zatrzymania młodości, ale i refleksja, że nie jest to możliwe. On swoje niespodziewane uczucie ogląda przez pryzmat literatury, muzyki, sztuk plastycznych, nawet historii i doświadczeń ludzkości. Natomiast Natalia zachłannie zagarnia dla siebie wszystko, co obudziła w niej ta miłość. To ona jest inicjatorką zdarzeń i rozwoju uczucia. Ona nie waha się przed niczym, co daje jej radość. Ona demonstruje tę swoją miłość, choć inni patrzą sceptycznie na jej związek z Krzysztofem. Czy może być za dużo miłości? – zdaje się w tytule pytać autor. Oczywiście w powieści nie ma odpowiedzi na to pytanie, ale zakończenie też nie jest jednoznaczne. Jak przystało na lekarza, autor uzasadnia psychiczne przeżycia bohaterów, a szczególnie Natalii, doświadczeniami z dzieciństwa i lat młodości. Ale mimo że jest lekarzem, nie potrafi wszystkiego wytłumaczyć z medycznego punktu widzenia. Do miłości Krzysztofa i Natalii wkrada się mistyka, jakiś demon. Czy można go pokonać miłością?

Powieść Jerzego Alskiego znakomicie się czyta. Napięcie emocjonalne między bohaterami niemal stale obecne jest w narracji. A jednocześnie autor coraz to każe się nam zatrzymać i pomyśleć, że choć tyle już stworzono traktatów o miłości w różnych dziedzinach sztuki, teraz przeżywamy ją jeszcze inaczej. I że niczego nie da się wytłumaczyć rozumem.

Książka jest do kupienia w gorzowskich księgarniach.

Dodam, że pierwsze spotkanie z czytelnikami odbyło się 9 grudnia w klubie „Lamus” i wzbudziło u obecnych duże zainteresowanie. Autor okazał się nie tylko zręczny w piórze, ale także w replikach słownych. Patrz następne strony...

Jerzy Alski, Za dużo miłości, Wydawnictwo Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2011, s. 308

PYTANIA DO JERZEGO ALSKIEGO, AUTORA POWIEŚCI
„ZA DUŻO MIŁOŚCI” OD WYDAWCY
PO TRZECH MIESIĄCACH UPORCZYWEJ PRACY REDAKCYJNEJ

I. K. SZMIDT: Jerzy, o czym właściwie jest ta powieść?

JERZY ALSKI: Wywołany do tablicy postaram się sformułować odpowiedź, ale nie na pytanie: o czym ta powieść jest, a jaka i o czym miała być w zamyśle. Byłem ciekaw, czy jestem w stanie napisać powieść. To pytanie, jedno z wielu, jakie sobie w życiu stawiałem, pojawiło się po raz pierwszy może dwa lata temu, kiedy wieczorem, z braku nowych lektur, sięgnąłem po Stendhala. Może zresztą pojawiała się i wcześniej, bo przecież w szufladzie leży kilkadziesiąt stron nigdy nieskończonej opowieści o Helenie, a w komputerze można znaleźć na przykład „Historijkę o pewnym Króliku” albo „Kalkę”, do której ciągle mam ogromny sentyment (to jest ukończone opowiadanie). Jesienią ubiegłego roku miała miejsce przygoda z Houellebecquem – „La carte et le territoire” (w pol. tłum. „Mapa i terytorium”). Po kilku dniach dostrzegłem, że można czytać bez słownika, domyślając się tekstu kontekstowo i kiedy dobrnąłem do trzydziestej którejś strony, gdzie Houellebecq opisuje spotkanie z Bogiem pewnej 90-letniej pensjonariuszki domu opieki, starającej się podnieść kieliszek wina, pomyślałem: skoro on tak może, to ja też spróbuję. Później robiłem notatki, a jeszcze później, na początku grudnia, opowieść po prostu mi się przysniła. Zbudziłem się o czwartej rano, nie bardzo wiedząc, co się wokół mnie dzieje, z gotową historijką w głowie. Gdybym się wtedy podłączył do jakiegoś niesłychanie zmyślnego komputera, zaoszczędziłbym pół roku, a opowieść byłaby gotowa po paru minutach. Ale nie podłączyłem się. Skoro tak, to trzeba było ją napisać. Powstała przy walnym, redakcyjnym Krystyny i Twoim udziałem, taka właśnie, a nie inna.

Pewne założenia przyjąłem na samym początku. Po pierwsze, książka miała być ładna. Po drugie, miała się dobrze czytać. Po kolejne, nie miało tam być złych ludzi, przemocy i wszystkiego tego, czym epatują nas codziennie wieści ze świata. Nie miało być tragedii, krwi, łez – a jeśli już, to nie dlatego, że ktoś napotkał zło, tylko dlatego, że pewne zdarzenia albo nas przerastają, albo są nieprzewidywalne i kiedy się zjawia, to one nami rządzą, to one nas prowadzą i nie zawsze tam, dokąd byśmy chcieli. Dlatego, że nawet dobro niekiedy występuje w przebraniu, obracając się przeciwko nam samym. Po kolejne: nie miało tam być miejsca dla wulgarności i wulgaryzmów, pospolicości, brudu, tego wszystkiego, czym literatura współczesna uwodzi czytelnika myśląc, że jej się to udaje. Nie miało tam też być całej tej, w gruncie rzeczy blahiej, współczesności, z polityką, lewakami krzyczącymi, że im się należy, prawakami łupiącymi kogo się da, demonstrowaniami, pokrzykującymi mniejszościami, bezrobotnymi, nadmiernie zapracowanymi, z całym tym zgiełkiem, w którym żyjemy na co dzień. Nie miało tam być fałszywie i byle jak pojmowanego patriotyzmu, zaściankowości, ksenofobii, uprzedzeń, wszystkich rasizmów, faszystów i reszty -izmów, które nie tylko nie są interesujące, w moim mniemaniu zubażają nas, jeśli nie poniżają, a też wydają się groźne dla istoty naszego człowieczeństwa.

I. K. S. To brzmi zachęcająco, ale jednostronnie. Kto wie, czy nie przeważająca liczba ludzi sięgających po książki oczekuje właśnie tego, o czym nie chcesz pisać?

J. A. Przede wszystkim ta historia miała być pozytywna (to straszliwie banalne słowo, ale w miarę trafne). Miała być o tym, że żyjemy w Europie, w której nie ma granic i, jak w średniowieczu, można ją przejechać od krańca do krańca praktycznie bez dokumentów, że bohaterowie bywają w Berlinie, bo jest on blisko leżącym, ciekawym miastem i jest to powód, aby być w Berlinie, a nie w Poznaniu na przykład. Że tak samo można spędzać wakacje na Mazurach, co w Dolinie Loary. Zwróć uwagę, bohaterowie tylko raz są za granicą: na Jersey.



Miała być o tym, że na tym kontynencie nigdy nie było tylu sytych, tylu umiejących pisać i czytać, tylu wykształconych. Że, jeśli osiem wieków temu baron miał posłańca, to dzisiaj wszyscy mają komórki i to za grosze, mają Twittera i Facebooka, te już zupełnie darmo. Że nigdy jeszcze dobra kultury nie były tak dostępne – wystarczy kliknąć, aby znaleźć się, na przykład w Zwingerze. Że tu, na tym kontynencie, wszyscy mają wodę, na życzenie ciepłą. Że, właściwie nie bardzo wiadomo, dlaczego wszyscy tak straszliwie narzekają i są nieszczęśliwi. Historycznie rzecz ujmując, w takiej właśnie Europie żyjemy.

I. K. S. To nieco utopijna wizja. Ludzie są podzieleni na bogatych i biednych, mądrych i głupich, zdrowych i chorych. Bohaterowie twojej powieści należą do tych, którym los sprzyja bardziej. Jak w harlekinach...

J. A. Bo takie osoby też żyją wśród nas i wcale ich jest mało. Bohaterowie sami sobie narzucają pewne wysiłki zmierzające do doskonalenia się w określonych umiejętnościach i niekoniecznie dla zysku. Robią to z ciekawości, czy dadzą sobie z tym radę, czy podolają. Ciekawią ich możliwości samych siebie. I nie jest to sfera hermetyczna, każdy może się wielu rzeczy nauczyć, nauka jest obecnie dostępna i niedroga. Bohaterowie pracują, wykonują użyteczną pracę, odpowiednio opłacaną. Zwróć uwagę, żadne z nich nie narzeka, że zarabia za mało. Jeśli poszukują większych dochodów, to nie dla nich samych, a z innych powodów, moim zdaniem ważniejszych. Tu przykładem jest epizodyczny Jarek. Można mieć pretensje, że ustawiłem głównego bohatera na poziomie relatywnie wysokim ekonomicznie, ale on ma pięćdziesiąt lat i doszedł do biegłości zawodowej, która pozwala mu na nieco swobodniejsze finansowo życie. Ale przecież bez ekscesów. Tysiące ludzi wybierają egipskie plaże, a że on woli katedry? Jego wybór. W żadnym miejscu nie napisałem, że wybiera lepiej. Napisałem, że wybiera inaczej. Bo taki wybór też jest możliwy.

Bywają w filharmoniach i operach. Bo ten świat też istnieje. We współczesnej kulturze jest miejsce na wszystko. Na piosenki, które się przez powieść przewijają i na „Cassandrę” Gnechchiego. Oczywiście, ta nieco trudniejsza warstwa kulturowa została niesłychanie zepchnięta i dlatego o niej piszę, że też istnieje i jest interesująca, inspirująca, niezwykła. Ale w żadnym wypadku nie dlatego, że jest lepsza. Jest inna, ale tak samo dostępna, a niesie ze sobą przeżycia może pozwalające nam bardziej poznać samych siebie. To tylko propozycja w końcu, propozycja składana przez osobę, która równie dobrze bawi się przy techno-transie z Tel Awiwu, co przy hiszpańskich średniowiecznych chaconnach.

Oglądają, zwiedzają rozmaite zabytki, dużo rozmawiają o przeszłości, odległej i bliskiej. Historia stanowiła osobny problem. Postawiłem na pewną ahistoryczność historii. Wszystkie zdarzenia są równoczesowe i nie odległość czasowa od współczesności stanowi o ich znaczeniu. Dlatego Carnac, dlatego katedry, dlatego refleksja o Karolu Wielkim i Sasach. Dlatego to zawołanie Krzysztofa do Izy pod Porta Nigra w Trewirze: Możesz ty alemańska terrorystka? To już było i nie ma w tym niczego nowego. Lepsze, możliwe zawsze ekspandowało i broniło się przed terrorystami próbującymi polizać lepsze świat. Spójrz, o ileż dzisiaj rozleglejszego niż wtedy, kiedy rzymskie straże stały w Czarnej Bramie. Coraz więcej ludzi żyje lepiej i nie ma co krzyczeć, że jest źle. Jest lepiej i wystarczy starać się, żeby nadal było coraz lepiej. Pozytywne wynika z pozytywnego, z negatywnego wynika doprawdy niewiele. Są i wojny, wspomnienia o wojnach. Ale bez krzyczenia o winie, bo jakżeż krzyczeć o winie wtedy, kiedy na tym kontynencie przez kilka tysięcy historii zapisanej i Bóg wie,

przez ile tysięcy, o których żadne relacje nie pozostały, wszyscy bili się ze wszystkimi, wszyscy byli kiedyś wygrani i kiedyś przegrani. Historycznie, każdy wśród swoich przodków znalazłby i katów, i ofiary. Jesteśmy tacy sami, kiedyś wygrani, kiedyś przegrani, ci zabijani i ci, którzy kiedyś zabijali. Tak próbowałem napisać. Wyzwoliliśmy się z tego, za cenę straszliwą, ale zwróć uwagę, nawet w koszarze drugiej wojny światowej wspomnienia cioci bohatera nie są czarne. I, co ważne, w jej wspomnieniach ludzie nie dzielą się na narody. Dzielą się inaczej. Trwale odnoszę wrażenie, że to Shoah był najbardziej niepojętym złem, jakie się kiedykolwiek zdarzyło, może dlatego ograniczyłem bohaterowi rozważenie tej kwestii do jednej sentencji: Ich bin ein Jude. Chciałem, żeby więziłością otarł się choć trochę o poezję i chciałem, żeby wybiegł w przód. Bo w przyszłości możemy się połączyć, przeszłość jeszcze długo będzie usiłowała nas podzielić.

I. K. S. Tło akcji prosi o trochę więcej współczesności w realu.

J. A. Bohaterowie nie uciekają od współczesności. Poczynając od spotu, który ocieka nowoczesnymi gadżetami, demonstrując czytelnikowi objawy radosnego, pierwotnego zdziwienia, ale, że zacytuję niedokładnie: „w żadnym wypadku nie rezygnując z atrybutów cywilizacji, tak przecież zabawnych”. W czasie, w którym rozgrywa się akcja powieści, Skype nie był jeszcze aż tak popularny, jak dzisiaj, a jest już wtedy jednym z podstawowych narzędzi komunikacyjnych dla bohaterów. Krzysztof kradnie pliki w sieci, zjawisko absolutnie powszechne dzisiaj i kradzież już w gruncie rzeczy niebędące, ale kradnie Koncert Tyrolski Glassa, tak samo dostępny jak nagrania heavymetalowych kapel, posługując się eMule i narzekając na Torrenty. Przez sieć zamawia bilety do opery, w sieci kupuje albo wybiera dobra do uzyskania. Jest tam obecny co chwila, uważając świat sieci za równie realny co ten obok, na wyciągnięcie ręki. Bohater upala się jointami, poszukując pokreślonych stanów świadomości, bohaterka ma w swoim życiorysie okres amfetaminowy – i co z tego? Taki jest współczesny świat wokół nas, z wszystkim, co dobre i dobre mniej, ale budzące zaciekawienie. Pigułki antykoncepcyjne, które bohaterka bierze i które w pewnym momencie brać przestaje, pozwalają obojgu na nader kolorowe życie erotyczne, bez oglądania się na konsekwencje – szczególnie też bez znaczenia.

I. K. S. W tej materii, zgoda. Świat jest blisko, kraj o wiele dalej. Dotknijmy jeszcze budowy napięć, emocji, które determinują bohaterów, jakże różnych od siebie...

J.A. Emocje. To będzie fragment trudny, z pewnymi niedomówieniami. Pominę pierwszy powód, dla którego jest to akurat taka, a nie inna para bohaterów: 50-letni, wrażliwy i trochę nieśmiały intelektualista, prowadzący sam ze sobą nieustanny eksperyment, w którym poszukuje odpowiedzi na pytanie: co jest możliwe, co mógłby jeszcze i 28-letnia, śliczna i doskonale wyedukowana młoda kobieta obarczona egzotycznym syndromem neuropsychiatrycznym, ani trochę niezastanawiająca się, czy coś jest do wzięcia, tylko biorąca to sobie, skoro to akurat jej się podoba, więcej niż podoba, budzi namiętności albo i namiętności wielkie. Drugi powód był taki, że on, zinternalizowany Faust, prowadzący przez lata apollinijskie poszukiwania, wyrozumowane nadmiernie, wręcz przeintelektualizowane, powoli zaczyna dostrzegać coraz bardziej dotkliwy brak dionizyjskiego aspektu w swoim życiu, tej odrobiny szaleństwa, w którym nie ja rządzą wszystkim, a wszystko zaczyna mną rządzić, odrobiny szaleństwa, w której jak w niczym innym odczuwalna jest tożsamość, obecność tego tajemniczego ja, mnie samego we mnie samym, a też i obecność Wielkiego Innego, wtedy właśnie odczuwana najbardziej, kiedy wyłączyć intelekt i pozostać w odczuwaniu, współodczuwaniu świata. Przez stulecia kasowana powolnkiem, w stuleciu dwudziestym coraz pręcej, a w obecnym wręcz lawinowo, przenosząc codziennie kolejną porcję naszych emocji z osób na rzeczy. I Natalia, która, być może dzięki owemu egzotycznemu syndromowi i w zderzeniu z rozwijającą się chorobą matki, pozostawiając czytelnym jedynie podstawowe emocje, pozostaje ciągle na etapie dziecięcego wręcz zachwytu światem, przeplatane go tak samo dziecięcym przerażeniem, dionizyjska, empatyczna, współodczuwająca intuicyjnie i natychmiast. Ona nawet nie musi stwierdzać,

że wie, jej „wiem” jest w niej obecne w sposób naturalny, obok wiedzy o Leonardzie czy Franciszku Pierwszym. Uzupełniają się idealnie, on niemal w całości faustowski, ona, niemal do końca dionizyjska, oboje wrażliwi, oboje ciekawi siebie absolutnie. Jej jest zupełnie niepotrzebna przedziwna filozofia Krzysztofa, aby odczuwać żal na widok szatana, na obrazie Tintoretta, ona go po prostu żałuje. Ale jest szalenie ciekawa, czy istnieje jakieś „dlaczego”. To ona, odchodząc od grobowca Agnieszki Sorel mówi: Teraz my. Przenosząc coś przez kilka stuleci i nawet nie zastanawiając się, czy jest to do przeniesienia. Tyle o bohaterach głównych.

Iza – córka Krzysztofa... Jest samym bohaterem, jego kontynuacją, rozszerzeniem i pogłębieniem. Dzięki, w gruncie rzeczy szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, odbudowują oboje związki między sobą, już dorosłe, a trzeba nie zapominać, że związki z okresu dzieciństwa Izy pozostały przecież nienaruszone. Jest lepsza niż ojciec; pozostając apollinijska, bardziej jest i dionizyjska, i racjonalna jednocześnie w la vie quotidienne. Jest profesjonalistką tam, gdzie on amatorem, zna lepiej języki obce i zna ich więcej, w wieku lat dwudziestu kilku dyskutuje swobodnie z ojcem pięćdziesięciolatkiem, zatem ma porównywalną wiedzę, choć refleksji nad nią zapewne mniej, ale tylko z racji wieku. Jest i bardzo bliska i odległa, jedyna, która może mu powiedzieć to, co mówi w Cabourg, i jedyna, z którą nie może się ożenić. Natomiast tu natychmiast pojawia się transgresja, bo Natalia jej dokonuje w symboliczny sposób, mówiąc w znaczącym momencie: Kochałam się z tobą, tatusiu. I to jak! Ale Natalia nigdy jego córką nie będzie, nie będzie Gilbertą Swann, nigdy nie powie mu tego, co mówi Iza-Gilberta. Być może będzie Albertyną, Agatą w jakiś sposób, przy tak niesłychanej identyfikacji, będzie każdą kobietą, poza córką. Ona wie o tym i też gdzieś to mówi.

Teraz Jola. Dobra Bogini, widząca trochę dalej i trochę więcej, wprowadzająca emocje na powrót do świata, opiekunka dzieci – dorosłych, żeby się za mocno nie pokaleczyły, uwodzicielska, ale zdystansowana, ciągle pozostająca ponad, może trochę Maja, manipulująca rzeczywistością, żeby było coraz więcej dobra.

Docent Jędrusko – kwintesencja mężczyzny po siedemdziesiątce, światłego, ciągle kreatywnego, docieklivego, niesłychanie aktywnego, z charakterem, który on sam znosi z trudnością. Myślę, że Krzysztof chciałby taki być za kilkanaście lat.

I Mama. Jej postać pozostawię niemal bez komentarza, trochę ze względów osobistych. Mama jest dla bohatera, tak jak i wtedy, kiedy żyła, i jego opozycją, i uzupełnieniem, bo przecież ktoś musi mówić „nie”, kiedy on mówi „tak”, i „tak”, kiedy on mówi „nie”. Jest rozmową z samym sobą.

Dziwaczna filozofia bohatera, już zupełnie krótko. Jej streszczenie znajduje się w komentarzu do Tintoretta, przypisie dotyczącym Teilharda de Chardin i ostatnim zdaniu powieści. Zło nie jest złem, dopóki pozostaje niezamierzone, dopóki nie jest zmyślne. Po to, aby chęć naprawy krzywdy, która się w końcu zawsze jakaś staje, dominowała nad poczuciem winy, po to, aby łatwiej było wybaczając, może po to, żeby przyjaźni było coraz więcej, a nienawiści coraz mniej. Bo ludzie są dobrzy, naprawdę dobrzy, tylko czasami mówią coś innego.

I. K. S. Pozostaje warstwa, nazwijmy to, pewnego eksperymentu z językiem, tu czytaj: językiem polskim.

J. A. Jeśli temat wydaje Ci się interesujący, opiszę to kiedyś bardziej szczegółowo. Było dla mnie niezwykle zajmującym obserwować powstawanie tekstu, który, poruszając się w obszarze od wysublimowanych apollinizmów, po transgresywne dionizja, pozostaje ciągle w obszarze języka, jak mam nadzieję, literackiego, rozumianego na sposób taki, jak go pojmowano w okresie wielkiej powieści, i jest, hm... ładny. Wybacz, proszę, niemal nie do uniknięcia w takich sytuacjach, ocieranie się o wychwalanie własnego ogonka. Ale obiecuję poprawę. Obiecuję napisać lepszą powieść, też dobrą do czytania.

I. K. S. Wiem. Coś Twojego już czeka w poczcie na lekturę



Ferdynand Głodzik Smutno mi w borze

(według *Hymnu* Juliusza Słowackiego)

Smutno mi w borze! Klnę się na mą duszę;
jako leśniczy chciałem być poetą.
Boskie skaranie! Czytać teraz muszę
tych wierszokletów.
Okrutnie twardy do zgryzienia orzech!
Smutno mi w borze.

Miast chłonać urok spokojnych wieczorów,
by w ciszy lasu odsłonić swe wnętrze,
zakładam neta i wchodzę na forum
„Na ósmym piętrze”,
gdzie grafomanii nieprzebrane morze!
Smutno mi w borze.

Wszędzie tragedie, pensjonarskie łezki,
złamane serca, wena częstochowska,
życiowe drogi, poplątane ścieżki,
cały ten koszmar.
Choć w leśniczówce okienko otworzę,
duszno mi w borze.

Stękanie, jękiem płynie epidemia!
Co się od razu wszystkim porobiło?
Otchłań rozpaczy, łzami zlana ziemia;
wszędzie ta miłość!
Co chwilę serce wyrzyte na korze.
Smutno mi w borze.

Gonią mnie w głuszy rozpaczy okrzyki,
wysrane z palca miłosne humory.
W cieniu dębiny złośliwe rydzyki
i muchomorzy!
Znów jem kolację w wisielczym humorze.
Smutno mi w borze.

Bo nie zostanę nigdy nadleśniczym,
bom, już zapomniał jak pozyskać drewno,
bo rymowanie wciąż mi się pierniczy,
na nutę rzewną.
Bo nie znam jutra co nowy gniot niesie.
Smutno mi w lesie!

*

Ukazał się nowy 2/8, a z kolei 24 numer
gorzowskiego pisma kulturalno-artystycznego

„LAMUS”

poświęcony tym razem fotografii i refleksom.
Pismo prezentuje nową, oryginalną okładkę,
zaś szatą graficzną środka nawiązuje do dawnej
okładki. Wewnątrz dużo świetnych fotografii
ilustrujących poruszane w artykułach problemy
sztuki obiektywu. Teksty w nim przyglądają
się fotografii, poprzez konkretne przykłady dla
różnych dziedzin sztuki, np. poezji, teatru, filmu,
nowych mediów i filozofii. **POLECAMY!**

HERBERT NA TABLICY

W piątek 9 grudnia 2011 r. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej patrona ksiąźnicy Zbigniewa Herberta (patrz s. 24).

Uroczystego odsłonięcia dokonał Wojewoda Lubuski Jan Świrepo wraz z przedstawicielami samorządowych władz województwa i miasta. Zgromadzeni goście mieli okazję przybliżyć sobie sylwetkę patrona, dzięki interesującemu wykładowi Cecylii Judek ze szczecińskiej Książnicy. Jan Świrepo w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej odznaczył dyrektora biblioteki Edwarda Jaworskiego Medalem Złotym za Długoletnią Służbę. Na zakończenie uroczystości aktorzy gorzowskiego teatru im. Juliusza Osterwy zaprezentowali w konwencji teatru poezji inscenizację wierszy i listów Herberta pt. „Żegnaj Książę”. Na stronach 23 i 24 więcej o tej uroczystości.

„SŁOWIK 2011” dla Gandy

Tegorocznym laureatem Nagrody im. Janusza Słowika decyzją Kapituły został **Czesław Ganda**, prezes gorzowskiego RSTK, wychawca młodych artystów, przyjaciel poetów i malarzy, animator Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach, Gorzowie i Garbiczu. Wręczenie nagrody w Klubie „Pod Filarami” odbyło się 14 XII br.

*

Jeszcze w tym miesiącu ukaże się drukiem nowy tom satyr, znanego już nie tylko w Gorzowie, rymopisa prześmiewcy **Ferdynanda Głodzika**. Tytuł: „**Własnym nosem**”. Będzie jak znalazł pod choinkę!

Kolejną, siódmą już książkę, tym razem z optymistycznym (po „Peronach łez”) tytułem „**Laknę wiosny**” wydał w Sonarze **Gąsior** czyli **Jurek Gąsiorek**. Obie książki omówimy w następnym numerze.

**Jurkowi Grodkowi szczerze wyrazy współczucia
z powodu tragicznej śmierci Matki
składają
koleżanki i koledzy z gorzowskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich**



Gorzów: Bulwar nad Wartą

NA ODSŁONIĘCIE TABLICY W BIBLIOTECE im. ZBIGNIEWA HERBERTA W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

Szanowni Państwo!

Jest mi przykro, że nie mogę być teraz pomiędzy Wami, ale – jak powiedziałem p. dyrektorowi Edwardowi Jaworskiemu – siła złego na jednego. Niemęską rzeczą jest snuć jeremiady nad własnym losem, a już zupełnie to nie w herbertowskim stylu, więc tylko dodam: w najbliższym już czasie ukaże się moja książka poświęcona genealogii i młodości Poety, więc jakiś tam pożytek ze mnie będziecie mieli – niewielki, ale zawsze.

Przystępując bez marudzenia do rzeczy, trzeba na wstępie powiedzieć, że nie ma godniejszego miejsca, w tym dla upamiętnienia pisarza, jak biblioteka. Nie dajmy się zwieść temu szumowi medialnemu i zniewalającym naszych bliźnich konsumpcyjnym modom, księżnica to królowa wszelkiej kultury, arka przemierzająca cywilizacji. Wiem, co mówię, bowiem jestem historykiem, czynnie parającym się nauką, a i bibliotekarzem bywałem w swym życiu przez wiele lat i w rozmaitych okolicznościach, zawsze jednak mało przychylnych dla tego typu instytucji i ożywiającego je arcymężnego plemienia bibliotekarzy, których dzielność wzrasta wraz z kolejnymi zapowiedziami, że są na wymarcu. Gdyby te przepowiednie spełnić się miały, marny byłby nasz los, a w każdym razie ani mój Wuj, ani też ja, nie chcielibyśmy na takim świecie żyć.

Niegdyś studencka brać mianowała Zbigniewa Herberta Księciem Poetów, choć był dopiero u początków swej drogi twórczej. Uroczystości dzisiejsze ma uświetnić spektakl „Żegnaj Książę”, a tytułowe doń słowa zostały zaczerpnięte z „Trenu Fortynbrasa”, jednego z najbardziej znanych utworów mego Wuja. Warto w dniu dzisiejszym spojrzeć na ową tytułaturę nieco przekornie. Żyjemy w świecie, w którym godności trzeba zdobywać, a ich dziedziczenie się stało żalosną protezą niegdysiejszych splendorów. Jednak o wzlotach ducha często myśli się, jak o sferze wyłączonej spod powyższego prawa. W powszechnym wyobrażeniu, jeśli muza zechce namaścić swego wybrańca, to ów już tylko może wyczekać przyływu natchnienia; i oto, ciemne obłoki się rozstępują nad jego głową, słychać niebiańskie pienia, woń kadzidlana drażni nozdrza, a wreszcie światło spływa z góry na czubek czaszki wybrańca, który bezwiednie i bez kropli potu na czole przelewa owe prawdy objawione oraz wszelkie cudowności na papier. Oczywiście, dworuję sobie, ale istotnie jest z czego, bo nic głupszego na temat twórczości powiedzieć nie można.

Wbrew krzepko zakorzenionym stereotypom pisarze nie mają łatwego życia, a ich praca bynajmniej lekką nie bywa. Przekonanie o tym żywił także Patron tej biblioteki. Najlepsze swe lata spędził na pracowitych studiach w różnego rodzaju księżnicach. W latach pięćdziesiątych,

kiedy ociągał się z powrotem do szarego Gomulkowa, a stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki już dawno zostało wyczerpane, wówczas – pomimo kalectwa – nocami nosił skrzynki z mięsem i owocami w nieistniejących już dziś Hallach paryskich [Les Halles], za to we dniu prowadził iście

pański żywot czytelnika w przepysznych nadsekwańskich bibliotekach. Łatwo jest powiedzieć, że bez tych studiów nie byłoby tomu szkiców z tomu „Barbarzyńca w ogrodzie” – a tytuł to wielce znamienny, którego nie poddam tu analizie tylko ze względu na litość nad słuchaczami licznych przemówień chwili obecnej. Jednak, czy bez tych lektur powstałyby lotne frazy wierszy Herberta. Także – nie! Kiedy byłem młodym poetą, na mą niechęć do lektury dawnych mistrzów Wuj reagował dosłownie z wściekłością, którą łącznie furiją nazwać by można. Sam zaś publicznie mówił, że on szanuje swych czytelników i w związku z tym nie obawia się sięgać po wątki mitologiczne, czy zaczerpnięte

z historii, bo odbiorca albo wie, o co chodzi, albo się sam dowie. Od siebie dodałbym, że inny pożeracz słowa drukowanego nie jest wart wysiłku i ofiary życia pisarza.

Rzuciłem tu na wstępie uwagę o mocy i fundamentalnym znaczeniu biblioteki w człowieczej cywilizacji. Warto może dodać, że jest ona również schronieniem wszystkich skołatanych dusz, ostatnią barykadą w bojach z barbarzyństwem, a ono bynajmniej nie zostało wyrugowane z naszego sytego świata, ale zdaje się wyraźnie dobijać do jego bram. Co najmniej od trzech pokoleń książki były gromadzone w wym i mych przodków domach. Prawdę mówiąc, pouczenia swej Matki o niestosowności wydatków na nie zbywam już autodiagnozą wskazującą na obciążenia dziedziczne. Ale wrzuszenie moje wywołał pomysł mego Dziadka, który w czasach realnego socjalizmu, a może jeszcze w okresie stalinizmu, wpadł na pomysł, by założyć komercyjną wypożyczalnię książek – oczywiście wraz z synem i zięciem, czyli wym Ojcem – bowiem życie w kraju rządzone przez komunistów mu jakoś zbrzydło. Chciałbym więc, by tablica odsłonięta dziś w gorzowskiej Bibliotece im. Herberta była dla jej czytelników znakiem, pod którym ruszać będą na podboje nowych światów – oczywiście intelektualnych, bo inny imperializm jest obrzydliwy – i niech ich doprowadzi na wyspy szczęśliwe.



Odświeżenie tablicy patrona WiMBP w Gorzowie Zbigniewa Herberta w obiektywie Kazimierza Ligockiego



1. Pan dyr. Edward Jaworski zaprasza Pana Wojewodę Jana Świrępę do aktu odsłonięcia tablicy.
2. Pan Marszałek Maciej Szykuła, przedstawiciel fundatora (Urzędu Marszałkowskiego) tablicy, jak widać też tu miał coś do powiedzenia.
2. Dyr. Edward Jaworski już z medalem za długoletnią służbę.
4. Aktor Michał Aniol pięknie czyta list Rafała Żebrowskiego, siostrzeńca Zbigniewa Herberta.
5. Delegacja Książnicy Szczecińskiej z byłym zasłużonym dyr. Stanisławem Krzywickim, obecnym dyr. Lucjanem Bąbolewskim i Cecylią Judek, która przedstawiła multimedialny biogram Herberta.
6. „Żegnaj, Książę” – spektakl wg Herberta (Teatr Osterwy).
- 7 i 8. Tort bezowy od Sowy był pyszny, drugi ciut inny.
9. A działo się to w piątek, 9 grudnia A.D. 2011.